

Czy małe jest wielkie – o poezji Floriana Śmieji



Promocja najnowszego tomu poezji Floriana Śmieja „Dotykanie świata” (2016) w Konsulacie Rzeczypospolitej Polskiej w Toronto, 22 listopada 2016 r. Florian Śmieja (z lewej) i Konsul Generalny Grzegorz Morawski).

Maria Magdalena Rudiuk

Florian Śmieja (poeta, tłumacz, krytyk, edytor, profesor uniwersytecki języka i literatury hiszpańskiej) jest, jak sędzę, w porównaniu do innych kanadyjsko-polskich poetów/ek wojennej emigracji, obok Bohdanowiczowej, najbardziej tradycyjny. Przy czym, paradoksalnie, czyż ta poezja nie może być uznana za wyraźną realizację postmodernistycznego wymogu rezygnacji z „grand - narratives”? To właśnie Śmieja zdecydowanie wspomaga postmodernistyczne „mini narratorstwo” - „małe” zamiast „wielkiego”, bardziej lokalność niż globalność, bardziej konkret niż enigmatyczną uniwersalność. To właśnie on - jak to znajdujemy w *Mały wybór wiersz* (s. 23) - wyznaje, *jeśli w krajobraz wchodzić masz, to z sobą i to on nakazuje sobie czujność, aby „nie przeszła obok / ta, co się jedynie liczy: intymność. W świecie wyborów:*

można w mroku dnia szarego

pomnażąc cuda

i trawić życie wśród bratnich zabiegów

niegłośnym trudem

(Florian Śmieja, Mały wybór wierszy, 3)

Obok, Danuty Bieńkowskiej, Zofii Bohdanowiczowej, Andrzeja Buszy, Bogdana Czaykowskiego, Janusza Ihnatowicza, Wacława Iwaniuka, znalazł się Śmieja w Kanadzie w następstwie drugiej wojny światowej. Wszyscy wymienieni twórcy byli „ofiarami” wojny. O ile jednak Iwaniuk (i w mniejszej mierze Bohdanowiczowa) identyfikuje się z postawą „ofiary”, o tyle pozostali zdecydowanie nie pozwalają sobie na zamknięcie się w tej kategorii. Śmieja bez wdziwania cierpiętniczych szat buduje w Kanadzie swój dom, nie zapominając o swoim gnieździe – Śląsku, tej specyficznej części Polski targanej, jak i reszta kraju, bolesnymi historycznymi zmianami.

TAM I TUTAJ - KULTUROWE DYSTANSE I BLISKOŚCI

Florian Śmieja pośród innych wojennych imigrantów w Kanadzie

Procesy adaptowania się w nowym kraju tak różnym od Polski i od Europy nie przebiegały bez oporów. Interesującym faktem

jest, że różnice przeżywania kulturowych dystansów i bliskości wydają się być, w dużym stopniu, różnicami generacyjnymi. Najbardziej kontrastująca różnica postaw zachodzi między najstarszymi - najdłużej zakorzenionymi (Bohdanowiczowa, Iwaniuk), a najmłodszymi - najkrócej zakorzenionymi (Czaykowski, Busza). Dla Iwaniuka problem tożsamości jest „wszystkim”, jest fundamentem myślenia i pisania, Busza jest ponad tym problemem. O ile Iwaniuk bezpowrotnie należy do utraconych miejsc, tak Busza nie przynależy do żadnego miejsca. Świadomie przyjęte, „obywatelstwo” - kulturowe Universum - pozwala Buszy i Czaykowskiemu przekroczyć wszystko to, co dla Iwaniuka było nieprzekraczalnym światem. Dla Czaykowskiego człowiek - mocarstwo wewnętrzne, a nie „miejsca” są ważne” i tak jak u Buszy nie one decydują o tożsamości.

Śmieja, najbliższy wiekowo Iwaniukowi (13 lat różnicy) oddala się od „młodszych” i zbliża do Iwaniuka. Różnic jest jednak więcej niż podobieństw. O ile jednak u Iwaniuka jest to identyfikacja z obrazem zniszczonego swojego „miejsca” (Polski), tak u Śmieji jest to, mniej obraz, bardziej konkret, mówienie wprost - bardziej o Śląsku i jego bolesnych realnościach niż życiu Polski. U Śmieji jest to najczęściej identyfikacja w wymiarze realnym, Iwaniuk operuje znakami, które mają świecić blaskiem szerszych symbolicznych znaczeń utraconego „miejsca”. W obydwu przypadkach jest to kult „miejsca”, ale zarazem uderza odmiennosc funkcji: dla Iwaniuka

jest to kontynuacja starej partiotyczno-niepodległościowej tradycji sięgającej do romantyków, u Śmieji jest to już nie *pars pro toto* ojczyzna, ale gniazdo - Śląsk, gdzie szuka i odnajduje prawartości siebie i człowieka.

W obydwu przypadkach jest to obrona imponderabiliów, ale dla Iwaniuka to wysiłek docierania do skarbcza romantycznych znaków „ojczyzny duchowej”, próba samookreślenia się jako poety - depozytariusza prawdy, mówienie z pozycji poety - autorytetu, kontynuatora dziedzictwa, jako tego kto wypełnia nakaz, realizuje wielki testament. I w konsekwencji rozpacz, bo spełnienie misji, kontynuacja tradycji - bycia wieszczem swego narodu - jest niemożliwa, jakby nie ten czas, jakby zwyciężał paraliżujący poetyckie posłannictwo kosmiczny bezład powojennego świata - potwór Nowego Ładu burzącego dawne świętości. Głos poety - romantycznego patrioty, jest głosem wołającego na puszczy - taki jest status współczesnego poety - imigranta w Kanadzie i w reszcie Zachodniego świata. Zwyciężają „papierowe demokracje Zachodu”, a sięgając do języka postmodernistycznego - coraz głębiej ustala się podejrzliwy stosunek wobec takich wyróżnionych wartości jak: patriotyzm, narodowość czy rasa. Zaczynają one być coraz głośniej rozpatrywane jako jeszcze jeden z groźnych mitów ludzkości, które prowadzą do grozy faszyzmu i nacjonalizmu. Dorobek Iwaniuka zaś swoich dalszych konsekwencjach - jest moim zdaniem - wyrazem poetyckiego energicznego protestu i

goryczy, że nie tylko wysiłek walki zbrojnej Polaków w czasie drugiej wojny poszedł na marne, ale tradycyjny polski bojownik sprawy narodowej jest pozbawiony swojego uświęconego etosu, jakby był gatunkiem skazanym na kulturowe wymarcie, niczym kanadyjscy Indianie. Powojenny świat to proces burzenia świętego dla poety „status quo”. Nic już nie jest takie samo, „biblia nie jest biblią”.

U Śmieji jest obecne porażenie współczesnością, ale nie ma kosmicznego wyjścia świata „z normy”. Zgodzić się trzeba z Marią Danilewicz -Zielińską gdy pisze: „W poezji Śmieji w stopniu wyższym niż u pozostałych poetów grupy dochodzi do głosu przerażenie współczesnością” (Szkice o literaturze emigracyjnej, Paryż 1978, str. 333). Okres powojenny dla tego poety to dalej świat, gdzie budowanie domu jest możliwe, jak czytamy w wierszu *Nie jestem turystą* i jest to dalej świat tradycyjnych śląskich i chrześcijańskich wartości. To nie Iwaniukowy pocisk-słowo, to nie jest ton narodowej słuszności, wielkich prawd zagubionego poety, ale dominuje u Śmieji mowa ściszym głosem pojedynczego człowieka, który nie stracił wiary, a więc nadziei w „lepsze”.

POEZJA - DEPOZYTORIUM WARTOŚCI

Kontynuator tradycyjnych wartości nie może rezygnować z postawy depozytariusza moralnych słuszności. Także obok

decyzji mówienia „ściszonym głosem” (wspomnianej rezygnacji z „grand narratives”) podmiot liryczny nosi w sobie jednak cechy *człowieka faustowskiego* – człowieka „słusznej wiary”, w którą składa swe totalne poczucie wartości i znaczenia. W poezji Śmieji przyjmuje on postawę podziwianego przez poetę człowieka z „charakterem”:

LUDZIE Z CHARAKTEREM

Przez królewicza zhańbiona Lukrecja

nie mogąc z sobą żyć ujęła sztylet;

ponoć z odrazy, że wodził pryszczatym

śmierć sobie zadał ambitny poeta.

Niebezpiecznie żyć ludziom z charakterem:

słuchają głosów chociaż niebo puste

smak cenią wśród powszechnego obżarstwa.

Kiedy przeżyją, to powiedzą o nich

nieutytlani, wstydzic sie nie musza

zadnych lustracji sie nie obawiaja.

Jak w porownaniu wygladaja inni

co isc musieli na drobne układy;

nie mowiac o tych, ktorzy nadal w maskach

co etykietke za wasza I nasza

sprytnie na tu I teraz pomienili?

Wpierw towarzysze, potem .liberały

z socjalistycznych trybun w kapitalizm

wiatr historii zawsze im wieje w plecy

znów na swieczniki wystawia, bezczelne

gęby chichocą pośród dygnitarzy:

ze za pan brat z prokuratorem zyja

to się śmiać mogą nawet z grubej kreski.

Nie sądzę by im sen z oczu płoszyła

ręka, co pisze po nocach na ścianie

bezszytecznie: proszę państwa do gazu.

(Florian Śmieja, Niepamiętanie, 11)

Kąśliwości pod adresem bliźnich, czy złośczenia na ludzkie przywary nie są obce podmiotowi lirycznemu Śmieji, ale dominuje ton wyważonej refleksji, ton zadumy na upływem czasu i paradoksalnością ludzkiego świata:

DWA MITY

Pisaliśmy ją przez duże E

i przyrównywali do Wielkiej

bo przemożna była potrzeba

naszego wzrostu chociażby

tylko we własnych oczach.

Krwią poiliśmy maki, tułali się

w opłotkach nieczułego świata

cali zajęci sprawą czujni

rycerze za naszą i waszą.

Z pietyzmem mówiliśmy Kraj

naród cierpiący, sama esencja

bezwinnego człowieka

kamienie na szaniec godności

całopalny baranek bez zdrady

solidarna bezinteresowność

chłopcy krakowiacy wyłącznie.

Aż tu się skończył komfort dychotomiii

i znowu chochoł kazał nam się kłaniać:

stąd emigrantom do kraju nie pilno

a stamtąd nie mogą się dość nauciekać.

(Florian Śmieja, Ziemie utracone, 16)

I znowu, takie wiersze w dorobku Śmieji można uznać za paradoksalnie wspomagające, tak obce poecie myślenie znanych radykałów nowej wrażliwości (Susan Sontag - Nowa wrażliwość i inni jak Richard Gilman, Theodore Roszak...), którzy stwierdzają, że wszelkie wyjaśniania świata tak prymitywne, jak wyrafinowane (w tym racjonalnie kategorizujące) są mitami, arbitralnymi konstrukcjami ludzi na pewnym etapie rozwoju kultury, w tym ludzkiej świadomości... że wszelkie poznanie i definiowanie jest niczym innym jak tylko indywidualnym bądź zbiorowym posługiwaniem się mitem, a nawet obiektywna świadomość jest niczym innym jak tylko szczytowym osiągnięciem zabiegów mitologizujących współczesnego człowieka.

Przy całym tradycjonalizmie Śmieji, przy uznaniu umysłu zwyczajnego za podstawę poetyckich konstrukcji, tego typu wiersze bronią dorobek Śmieji przed zarzutem dogmatycznego

usztynienia. Warto zwrócić uwagę, że percepcja jakości moralnych, intuicja zła - te zwyczajne doświadczenia każdego człowieka - nie prowadzą tego poety do wysiłków wyjaśniania czym jest *malum culpae* (zło moralne) a czym *malum poenae* (cierpienia), ile raczej odnajdujemy w dorobku wiele ich poetyckich zanotowań jako sposób poszukiwania swojej tożsamości:

SPÓŹNIONA ARKA

Moja Kanada jest spóźnioną arką

gdzie się rodzaje i gatunki chronią

przed kataklizmem zagniewanych mocy,

pobożną wieżą Babel, co pobrzmiewa

pomieszanymi językami, tętni

lojalistami wielu wzniosłych celów

i kustoszami serdecznych pamiątek.

Ona ochładza rozpalone serca

co tutaj uszły po wielu pożogach,
nakarmi głodnych, pragnących nasyci;
wrozumiałym gestem wielkodusznych
często przygarnie łotra i blagiera.

W tym kraju można uleczyć nieufność.

Nieraz bohater wojennych dramatów
mieszka naprzeciw dawnego oprawcy
donosiciela, rzecznika przemocy:

Jakby z substancji tak zgoła odmiennych

chciano wypalić nowego człowieka

żadną granicą nie obciążonego,

nie niewolnika plemiennej historii.

(Florian Śmieja, Niepamiętanie, 13)

A jednak to nie fenomen Kanady, ale kultywacja wartości plemiennych i protest wobec kulturowej deprecjacji Śląska jest wartością dominującą i bodaj czy nie istotą przesłania poetyckiego Śmieji. Śląsk to ziemia dla Polski odzyskana, ale dla poety jest utracona. To właśnie śląskie wiersze uwyrażniają najbardziej bodaj wzruszająco, że poezja tego poety jest bardziej zapisem doświadczenia niż autorytatywną wykładnią słuszności:

ZIEMIE UTRACONE

Ziemie utracone to posiadłości

najbardziej niezbywalne; żadne one

ewangeliczne marności, które mól

stoczy, zje rdza i ząb czasu nadgryzie.

One się zawsze ozywają w ciszy

nawet najbardziej strzeżonej samotni.

Wystarczy na moment zamknąć powieki

a najpełniej zaludnią twój sen. Nic to

że minął czas i narosło dystansów.

Nie ucichł dotąd turkot kół: wciąż dudni

i na wzgórzu sterczą nieme wiatraki

choć dawno zmeły swoje ziarno.

Sędziwa ciotka łaje niepogodę

której już nie ma poza jej lamentem.

Bo nic nie jest bardziej twoje niż tamto

co wtedy utraciłeś: pełne trzmieli

małe pudełko w sadzie pod jabłonką,

chude bociany kreślone niezdarnie

na podniesionym blacie długiej ławy,

u kulawego krawca szyte spodnie,

ostre miętówki z poczekalni dworca.

(Florian Śmieja, Ziemie utracone, 30)

W całościowym spojrzeniu diapazon emocjonalny w wyrażaniu człowieka i kultury XX wieku jest u tego poety optymistyczny (por. Pukaj, Notes, Odchodzenie, Wnuk...), mocno osadzony w tradycji chrześcijańskiej. Obok tonu pogody i akceptacji życia i kondycji ludzkiej, jak w humorystycznej „Drzemce”:

DRZEMKA

Zdrzemnąłem się nad wierszem Kawafisa

już przy tytule zamknęły się powieki.

Gdy otworzyłem oczy

było po wszystkim:

zdążył odejść Demetriusz

i wcale nie po królewsku

z Macedończyków nawet śladu.

Wiele się może zdarzyć kiedy śpimy

nie wolno zasypiać

nie tylko gruszek w popiele.

(Florian Śmieja, Niepamiętanie, 9)

nieobce mu są jednak melancholijne refleksje o kruchości życia - „jesieni”, ani ton kogoś, komu nieobce są grzechy ludzkie:

KUSZENIE

Ledwo uszedłem z Babilonu

lecz nawet tutaj

gwar słyszę wśród traw

i pośród lilii polnych

że Salomon

nie był taki nagi

jak głosi przypowieść

że lepiej być ziarnkiem piasku

w stołecznej klepsydrze

niż młyńskim kamieniem

w kresowym miasteczku.

Nie bywam na kawie

więc nie wiem dlaczego

tylu geniuszów chodzi incognito.

Nie ma mnie na schadzkach

rosnącego w oczach

klubu nieproduktywów.

Porażka moja będzie zawiniona

osobista, bez ciotki w gazecie.

Koniec niechlubny od rynku

daleko. Nie słyszeli tu nawet

o taryfie ulgowej a pisanie

wierszy jest obciążeniem

wstydlwym.

(Florian Śmieja, Niepamiętanie, 30)

Śmieja uniknął sideł nihilizmu (Iwaniuk, Bieńkowska), ale uobecnia się w jego dorobku dramat ludzkiej niemocy, bezradności:

UCIECZKA

Uszedłem poza zasięg złości

w ustronne lasy.

Zaszytego w gałęziach

telefon nie znajdzie

i nie przyniesie listu cierpkiego

dzięcioł.

Więc tylko myśl

której ujść nie podobna

więc jeno żal

że ręka do podania stworzona

w pięść się zaciska

a uśmiech

liściem spada uwiędłym.

I jak nie zazdrościć

topolom

że rosną prosto

ptakom

że zamiast złorzeczyć – śpiewają.

Jak nie zazdrościć

mimo że wiem

że i we mnie

drzemią trele skowronków

i smukłość drzew.

Mimo że wiem

nie mam

nie mam odwagi

sięgnąć tak głęboko.

(Florian Śmieja, Kopa wierszy, 58)

ŻYCIODAJNE ŹRÓDŁA ŚMIEJOWEGO ŚWIATA

Przy dzisiejszym zagubieniu aksjologicznym, zanikaniu wiary w obiektywną zasadność znaczeń , a w ślad za tym tradycyjnych sposobów nadawania światu sensu, właśnie temu poecie jakby

udaje się omijać zawikłania współczesnej świadomości i pozostać wiernym prostocie wiary, że życie jest obdarzone znaczeniem:

ZALECENIA NA WALNY ZLOT ANIOŁÓW

Tak żyć, aby było jaśniej

innym.

Brać tyle

by nie ubyło nikomu.

Czekać, choć wiesz,

że nikt do ciebie nie zapuka.

Wierzyć w człowieka

właśnie, bo zawodzi.

(Florian Śmieja, *Wiersze*, 78)

Ten poeta omija całą plątaninę modernistycznych i postmodernistycznych zawłośliwości człowieka i kultury, aby

pozostać w sferze prawd wzruszająco prostych i powiedzieć to, co dawno odkryte i dalej aktualne:

STAŁOŚĆ CZŁOWIEKA

Biskup saksoński Wulfstan

wołał na progu milenium:

nie lękajcie się, głupi,

siekier ani mieczy

rogatych duńskich rozbójców;

nie trwóźcie się,

kiedy dzioby łodzi

ryją się w wasze brzegi

lejąc po siołach pożar.

Pana się bójcie, rozwiąźli,

co pełne macie komory

i skrzynie a ciało

jedno i brzuch.

Stamtąd pewniejsza zagłada,

śmiertelniejsze zniszczenie.

Powtarzam jego słowa

sprzed lat tysiąca,

nic zmieniać nie trzeba.

Stażność kondycji człowieka

oszczędza wiele zachodu.

(Śmieja, *Wiersze wybrane*, 38)

Czy w dzisiejszym postmodernistycznym świecie taki tradycjonalizm podejścia ma status klasycznych staroci, czy jest w tym coś więcej? Śmieja, nie kwestionując stałości kondycji

ludzkiej, przeciwstawia się tym samym współczesnemu relatywizmowi, współczesnemu rozumieniu wartości w kategoriach historycznych. Czy faktycznie w dzisiejszym świecie taki głos jest anachronizmem? Czy raczej taki poeta jest jednym z tych, którzy unaoczniają kulturowy sens wartości ciągle jednak dalej podstawowych?

Dramat współczesnego człowieka wywołany brakiem wiary w transcendentálny porządek omija tego twórcę. Czyż taka tradycyjna postawa nie jest dzisiaj rzadkością? Ten poeta pisze tak, jakby cała postmodernistyczna aktywność destrukcyjna tego, co nazywamy „tradycją” nie dotknęła go. Jakby stare i najnowocześniejsze „zagrożenia” omijały tego szczęściarza:

SZCZĘŚCIARZ

Tyłu umarło z byle powodu

a on się uchował

z nieznaczną blizną na szyi.

Innym nie trzeba było wiele

gdy sam przez okno wypadł

z cegłami w zawody

tylko strachu się najadł.

Widział bomby lecące

prosto na niego

ale zginęli tamci.

Kiedy się zatrzasnęła

żelazna kurtyna.

został po dobrej stronie.

W asyście mglistej pamięci

może o sobie wspominać

bez niewygodnych świadków.

(Florian Śmieja. *Wiersze wybrane*, 66)

Jak to się więc stało, że ani wypadek z dzieciństwa, ani przymusowe roboty, ani okropności drugiej wojny, ani powojenne warunki w Anglii czy wreszcie stabilizacja w Kanadzie, ani modny i wdzierający się do dusz wszystkich postmodernizm nie zasiały spustoszenia albo co najmniej nie nadwątlili jego przekonań o sile tradycji? Jak to się stało, że te doświadczenia nie zostawiły śladów w postaci niepokoju wobec pewności rozumienia tego, co określamy „normalnością”?

Iwaniuk, aby przywołać go dla kontrastu, poszedł w zupełnie przeciwną stronę. Mimo oporów wobec nowej kultury to katastrofizm, postmodernistyczny apokaliptyzm okazał się dla niego właściwym twórczym kontekstem - znalazł się tam jak w „domu” dla wyrażenia tragizmu człowieka drugiej połowy XX wieku. Iwaniuk nie podźwignął się po przeżyciach drugiej wojny światowej i po powojennej zdradzie aliantów („oddaniu” komunistom jego kraju), nie podźwignął się już po gwałcie odłączenia od życiodajnego źródła - ojczyzny. Nie ukoila go stabilność kanadyjska, co gorsza, może właśnie ta kanadyjska stabilność normalności dla kogoś, kto przeżył wojnę i utratę kraju, była tylko jedną z późniejszych przyczyn zgorzknienia?

Wszystkie te fakty są ważne, ale mnie interesuje głównie znalezienie odpowiedzi na pytanie: jak to się stało, że powojenna kanadyjska rzeczywistość u Iwaniuka staje się światem zanikających znaczeń? Światem, w którym coraz bardziej

dominującą wartością okazuje się bezsens? Podczas gdy o dziesięć lat młodszemu Śmieji ta sama tradycja „gniazda” pozwala zachować w tej samej Kanadzie jasne tony tak w poszukiwaniu, jak w znajdowaniu tego, co najważniejsze w życiu człowieka - sensu? Zaś u pozostałych młodszych twórców ta tradycja gniazda staje się bardziej ważną metryką językowo-kulturową (sygnalizującą ich odmiennosc w nowym świecie), niż sferą mocnych aksjologicznych identyfikacji.

„MAŁE JEST WIELKIE”

Obok różnic wieku, osobowości, doświadczeń, wdrożeń intelektualnych i artystycznych, najbardziej intrygujące są dla mnie odmiennosci wyposażenia „miejsca”, odmiennosci aksjologicznego ekwipunku wyniesionego z „domu”. W konsekwencji widzimy różnorodność, można wręcz powiedzieć kontrastującą odmiennosc ukształtowań, co dowodzi tylko bogactwa polskiej kultury.

Ten ekwipunek domu w przypadku Iwaniuka nie stał się konstruktywny, nie pomógł mu unieść ciężarów życia (choć jednocześnie uaktywniał go twórczo). W przypadku Floriana Śmieji właśnie ta siła „gniazda” okazuje się źródłem życiowych mocy. Bo to właśnie tam (vide: Marek Pytasz, Florian Śmieja, *Wiersze wybrane*, Posłowie), na Śląsku, w obszarze pierwotnych wartości, tkwią korzenie Śmiejowej praufności, że życie ludzkie obdarzone jest sensem. Jego zwyciężający wszelkie przeciwności

naturalny, znajomy, ziemski, nieuginający się w żadnych okolicznościach zdrowy rozsądek jest właśnie śląskiej proveniencji. To właśnie, obok chrześcijańskich wartości, tradycja śląskiego szacunku dla pracy, pokora wobec „twardego” życia, zachowanie we wszystkich okolicznościach właściwej miary widzenia - zdrowego rozsądku, pozwala mu widzieć świat taki, jakim jest w swoim zastanym pięknie i w jego możliwościach „upiększania”. W dorobku tego poety odnajdujemy bardzo wyraźne wyeksponowanie wartości życia zwykłych ludzi pracy. To jego twórczość może być uznana za ekspozycję postmodernistycznego „małe jest wielkie” .

W jednym ze swoich wierszy „Wyborni mistrzowie” Śmieja pisze:

WYBORNİ MISTRZOWIE

Wyborni byli majstrowie

schludnych śląskich osad

miasteczek z kolorowych klocków. .

Onegdaj znajomy proboszcz

pokazywał zdjęcia

frontony starych domów

sacrum u szczytu oddzielne

misternie wymodlone kielnią

i rozumieniem rzeczy ostatecznych.

Błogosławieni, którzy stawiają

kamień na kamieniu

gromadzą budują mnożą.

Ich ciche imiona przetrwają

Wandali Tatarów i nowszych szabrowników.

(Florian Śmieja, *Niepamiętanie*, 8)

Poeta swój program zdroworozsądkowego, realistycznego minimalizmu uaktualnia tak w świecie „tutaj”, jak „tam” i może dlatego nie daje się zwać żadnym Wielkim Sprawom, Jedynym

Słusznościom, żadnym zbiorowym zaczarowaniom. Przeciwnie, jest w tym dorobku czytelne przekonanie o głębokim sensie zwyczajnych celów, tego wszystkiego, co zawsze było i jest sprawą zwyczajnych ludzi. Jest tam obecne przesłanie „małego”, ale solidnego gospodarowania życiem takim, jakie jest ono dane człowiekowi.

W tej postawie można dopatrzeć się kontynuacji starej tradycji myślenia, wynikającej z etymologicznego znaczenia słowa „kultura”. Jest to myślenie, że ludzka aktywność jest aktywnością kulturową, a więc uszlachetniającą zastany świat. Choć poeta nie wyraża tego *expressis verbis*, jednak przebija się to przekonanie przez cały jego dorobek. Skoro uszlachetnianie / kultywowanie, to ludzka aktywność jest nie byle jaką aktywnością, to nie jest wszelka aktywność, ale tylko ta, która jest moralnym zobowiązaniem do zmiany ulepszającej. Praca „wybornych mistrzów” jest jednym z przykładów tak rozumianej aktywności – dobrej, solidnej pracy, a więc tego, co przez wieki stanowiło fundament w odnajdywaniu sensu życia indywidualnego i społecznego, co jednocześnie – jak sądzę – decydowało o euro-amerykańskiej dynamice kulturowej.

Przy tak rozumianym etosie aktywności jako pracy (aktywności celowej, racjonalnej, ulepszającej) czym jest aktywność poetycka? W „Moim wierszu” poeta wyjaśnia, że jest to „nazywanie głosem ściszym”:

aby nie pogubiła się
choćby najskromniejsza rzecz
za którą potrzebujący kupi
chleba, schronienie, spokój.

Bo ona mnie obroni.

(Florian Śmieja, *Wiersze wybrane*, 35)

SKRZĘTNY GOSPODARZ SENSU

Żyjemy w czasie traconej wiary we wszystko. Dziś każdy może się szczycić brakiem sensu, autentyczności, zagubieniem, każdy może być pozbawiony wolności i osobowości, przeżywać dojmująco tragizm swojego czasu... Przyznanie prostocie (by nie powiedzieć rutynie) codziennych prac - celów statusu tak wysokiego, jak nadawanie sensu ludzkiemu życiu, wydaje się programem mało atrakcyjnym, zbyt minimalistycznym, trąci myszką o pozytywistycznej proweniencji. Może w protestanckiej części Zachodu byłoby to zjawisko kulturowo „normalne”, ale nie dla Polaka, który (jak mówił filozof Kotarbiński) „wielki duchem nie dba o to, co mu się płacze po podłodze”.

A jednak Śmieja - Ślązak - Polak - Kanadyjczyk uparł się, aby szukać wielkości właśnie tam, gdzie rzadko kto jej szuka - w zwyczajności, w codziennym trudzie ludzi. I jest to jeden z solidnych fundamentów także polskiej tradycji, tradycji nazywanej ludową w opozycji do tradycji szlacheckiej.

Jeśli więc ten twórca szuka wielkości, to raczej w „małym” - w tradycji codziennej solidnej pracy. Właśnie tam, bo „małe”, ex professo, z racji swojej natury małego, jest osiągalne - realne, namacalne, prawdziwe, od setek lat wypełniające życie tzw. zwyczajnych ludzi. Stara maksyma „ziarnko do ziarnka, a zbierze się miarka” jest przekonaniem mocno zakorzenionym w myśleniu poety.

Dzięki temu programowi - jak sądzę - trudy życia, wojenny szok, powojenna dynamika światów „tutaj” i „tam” były także łagodzone jak każde inne cierpienie. Bo jest to program codziennej krzątającej się dzielności, dyscypliny, racjonalnej hierarchii względów, balansu nie wykluczającego pisania wierszy.

Czy program Śmieji to mało? - mógłby ktoś zapytać. Śmieja nie proponuje wielkich celów, wielkich sensów. Raczej solidność wszystkich naszych dziennych spraw, sens małego, ale możliwego do zrealizowania, możliwego do wypełnienia i nadania ludzkiemu życiu godnego kierunku. Czy nie tędy droga?

Zwłaszcza po tylu bolesnych mitologicznych za-czarowaniach i rozczarowaniach?

Jednym z głównych elementów różnicujących postawy twórcze polsko-kanadyjskich poetów jest w moim przekonaniu zagadnienie „sensu”. Rozumienie i NIErozumienie, wątpliwości, artystyczne rozstrzygnięcia i niedopowiedzenia są uobecniane w dorobku każdego z poetów. W całościowym oglądzie można umieścić Iwaniuka, Bieńkowską na jednym krańcu (z jego przekonaniem o bezsensie świata i człowieka), Śmieję na zupełnie odległym i przeciwnym końcu. Czaykowski, Busza, Ihnatowicz znaleźliby się pośrodku, choć wcale nie w jednym i tym samym miejscu. Ci ostatni są ciągle w drodze. Są bardziej bohaterami wypraw po „złote runo” niż ofiarami wypraw (Iwaniuk, Bieńkowska), bądź, bez rezygnowania z dalekich wypraw, skrzętnymi gospodarzami sensu bliskiej, zapobiegliwej codzienności (Śmieja).

Nieobecni są najbliżej



Ks. Jan Twardowski, fot. znak.com.pl.

Barbara Gruszka-Zych

Do dziś przechowuję jeden z najcenniejszych dla mnie listów. Napisał go ks. Jan Twardowski po przeczytaniu moich tekstów poetyckich.

Te wiersze są proste, pisane bez zbędnych udziwnień. Myślę, że łatwo mogą trafić do czytelnika. Byłam szczęśliwa, że taką opinię

wydał mi ten, który pisał najprościej jak tylko można. I dzięki temu trafiał do milionów czytelników. Bez wątpliwości można powiedzieć, że przez ostatnie 20 lat był najczęściej wydawanym, czytany i cytowanym polskim poetą. Ale kiedy odwiedzałam go z przyjaciółmi w kościele Sióstr Wizytek przy Krakowskim Przedmieściu w Warszawie, nie wiem, czy z kokieterią, czy prawdziwym niedowierzaniem – pytał tym swoim cichym głosem przechylając głowę:

I tak naprawdę mnie czytacie? Inni też? Naprawdę wam się to podoba? A przecież te moje wiersze takie tam...

Przez lata nie był drukowany. Na jego tomikach nie pojawiała się też informacja, że jest księdzem. Nie tylko ze względu na ograniczenia minionego ustroju. Taka była też wola, żeby – jak nam mówił – nie narzucać czytelnikowi odbioru. Przecież czytali go również niewierzący. Bo w swoich wierszach nie pouczał, nie prawił morałów, nie straszył piekłem, a nawet się usprawiedliwiał: *nie przyszedłem pana nawracać*. – Wiara moja, jak i innych ludzi, podobnie jak niewiara, wydaje mi się tajemnicą – powiedział w jednym z wywiadów.

Urodził się w Dniu Dziecka, 1 czerwca w 1915 r. w Warszawie. Może dlatego tyle potem pisał o dzieciach. *Być na piątkę obiecuje, a z piątego piętra pluje* – uczyli się na pamięć moi

jeszcze mali synowie fragmentów z jego „Patyków i patyczków” (dziś mają po kilka tych książek z cennymi dedykacjami Autora, pisanymi drobnym pismem: „Kochanemu Tymkowi”, „Drogiemu Błażejowi”).

Dla twórcy „Znaków ufności” ważne były lata gimnazjum, szczególnie zajęcia z nauczycielem biologii – Władysławem Kociejowskim, który kazał mu prowadzić zielnik i uczył nazw roślin. Potem w swojej poezji ze znanostwem przywoływał „po imieniu” jesion, czeremchę, wiąz. Pasjonowała go też literatura. Jeszcze przed wojną, pod wpływem Józefa Czechowicza, wydał pierwszy tomik „Powrót Andersena”. Rozpoczął studia na polonistyce, był uczniem słynnego prof. Wacława Borowego. Podczas okupacji wstąpił do AK, brał udział w Powstaniu Warszawskim. W Radomiu, po spotkaniu z rodzicami postanowił, że pójdzie do Seminarium. Polonistykę skończył w 1947 r., święcenia przyjął w rok później. Był też związany z Katowicami. Tu przez długie lata mieszkała przecież jego siostra. Tutaj w „Odrze” drukował swoje wiersze pod pseudonimem Antoni Derkacz:

O najdroższa! Pod tej fary wieżą,
przy jabłoni siedem kroków w bok,

w szklach rogowych księża nie dostrzegą

jak ust blisko włosów twoich lok

(„O tej łzie co na końcu spadła”).

Jego pierwszą parafią był Żbików, gdzie pracował w szkole specjalnej. W 1950 r. z Pliszowa pisał do poety Jana Ożoga:

Myślę, że nigdy nie należy czynić z poezji najważniejszego problemu swojego życia - trzeba umieć postawić ją w odpowiedniej proporcji do innych spraw.

I to przesłanie starał się realizować zarówno w latach 60., kiedy nie wydano żadnego tomu jego wierszy, jak i w latach 90., kiedy ten sam jego wiersz publikowano jednocześnie w czterech różnych wyborach poezji, i gdy tłumaczono go na różne języki.

Zawsze zwracał uwagę przede wszystkim na innych. Kiedy razem z przyjaciółmi z warszawskiej polonistyki na początku lat 80. chodziliśmy go odwiedzać w zakrystii kościoła ss. Wizytek, gdzie był rektorem, zawsze znajdował dla nas czas. Przychodził nieodmiennie w sutannie, wysoki, w rogowych okularach jak z

wiersza, ze skromną, ortalionową siatką w dłoni. Przynosił w niej swoje poezje, a raz zapiski o przyjaciółce, przedwcześnie zmarłej Annie Kamieńskiej (powtarzał, że była świetną poetką religijną, zachęcał do jej czytania, mówił, że musi poświęcić jej wspomnienie). To właśnie w odpowiedzi na jej wiersz napisał: *Śpieszmy się kochać ludzi tak szybko odchodzą*. Uczyliśmy się tego utworu na pamięć i omawialiśmy na lekcjach w ramach praktyk studenckich jeszcze zanim włączono go do podręczników szkolnych. (Na początku lat 90. te słowa znalazły się - jako swoiste memento - w wielu nekrologach). Zapraszał, żebyśmy usiedli, pytał skąd jesteśmy, jak długo jechaliśmy, czy jesteśmy zmęczeni i głodni. Interesował się każdym z osobna, zapamiętywał nasze imiona.

Kiedy po latach odwiedziłam Poetę ze starszym synem, Tymek był zdziwiony, że dobiegający 90. Ksiądz pamięta dobrze mnie, moje koleżanki i kolegów: Zuzię, Jolę, Andrzeja. (Sam uczył się cytatów z jego wierszy: *Bo pozwalają patrzeć na świat z optymizmem* - mówił.) Rozmawialiśmy wtedy o nienawiści, przebaczeniu i miłości. Ksiądz powiedział, że codziennie rano podczas modlitwy powinniśmy oczyszczać się z uprzedzeń do ludzi. *Moja nienawiść żywi drugiego, ułatwia mu nienawiść* - ostrzegał.

Ocalić nas może miłość. Ale nie tylko samo uczucie

zakochania, ale troska o drugiego, opieka, wyjście poza siebie do kogoś. Ona jest najważniejsza, bez niej nie ma całego życia.

Zwykle do „jego” konfesjonału ustawiały się kolejki. Niektórzy żartowali, że Ksiądz jeszcze zanim wysłucha, już daje rozgrzeszenie. Tak wierzy w Boże Miłosierdzie i tak docenia wszystkich, którzy przyszli wyznać swoje winy. W wierszu „o kościele” pisał, że to miejsce, gdzie musiał *stale chować się do konfesjonału, któremu stale odrastają uszy*, i gdzie modlił się, *żeby nigdy nie być ważnym*. A przecież musiał wiedzieć, otoczony miłością czytelników, że ta ostatnia modlitwa nigdy nie została wysłuchana.

Dziś wybór Jego wierszy nie przez przypadek otwiera się na słowach: *przecież tylko nieobecni są najbliżej* („o nieobecnych”).

Florian Śmieja.

Wiersze z tomu „Dotykanie świata”.



Leszek Wyczółkowski, Time, grafika, 30×60.

W listopadzie 2016 r. ukazał się tom wierszy prof. Floriana Śmieji „Dotykanie świata”. Jest to podróż przez myśli, obserwacje i emocje z całego życia poety, poczynając od utworów z tomu „Czuwanie u drzwi” wydanych w roku 1953 aż po najnowsze. Promocja tomu wierszy Floriana Śmieji miała miejsce w Konsulacie Rzeczypospolitej Polskiej w Toronto, 22 listopada 2016 r.

Florian Śmieja

MINIBIOGRAM

W dzień mych urodzin nikt z armat nie strzela

chodząc ulicą nie budzę sensacji

na fluktuacje światowego rynku

nie wpływa wcale stan mojej wątroby.

Jak wielu innych pod uśmiechem skrywam

nieużywane pokłady czułości

czekam na właściwy telefon, na list

wyglądany od dawna, przyjaciela.

Taki to sporządziłem minibiogram

gdyby gdzieś miano wydać autentyczny

informator *Kto jest kim między ludźmi.*

ZANIM

Zanim ogarnie mnie zobojętnienie

a każda ma odpowiedź zabrzmiał: po co?

chciałbym jeszcze podeprzeć kruchą gałąź

podtrzymać skrzydło zmęczonego ptaka

dziecku dać uśmiech, spragnionemu wody.

Nie zbuduję już grodu, dodam kamyk

zdrowia nie wrócę śmiertelnie choremu

lecz nie odmówię ciepłego dotyku

dobrego słowa, ufego spojrzenia

drobiny światła przed idącą nocą.

NIEWAŻNE

Nieważne jest miasto do którego lecimy

Toronto, Los Angeles, albo Honolulu,

bo i tak pamięć zaszłego nas nie opuści

nie przepadnie tęsknota, żal się nie odmieni.

W sobie przecież niesiemy płomień najważniejszy,

którego nie wystudzi dystans, ani zmiana,

żegnania w południe czy rozłąka północą.

OREGON

Kiedy drzewo traci walkę o byt

nie zawsze się załamuje

często pogruchotane stoi dalej

odarte z kory, pozbawione korony

trwa na miejscu uparcie

korzenie nie puszczaają ziemi

pień zanim się w proch rozkruszy

by urzyźnić glebę

nadal daje schronienie

oparcie ptakom i owadom.

Dlatego las nie umiera.

PRZYSTANEK

Kiedy po drodze

przystanę, by się pochylić

nad małą kępką trawy

pytają się spieszni kierowcy

co on tam zgubił?

Pieniądze? Zegarek?

A to oni są stratni.

Ja znajduję moment skupienia

ofertę zieleni

a czasem, gdy się poszczęści

czterolistną koniczynkę.



Leszek Wyczółkowski, Golden
Moments, grafika.

DIOGENES

Szedł mozolnie, wytrwale

próbował białą laską.

Chodził w kółko, choć padał

deszcz i bryzgały pojazdy.

Był ociemniały. Liczne

śledziły go oczy, bo osób

dokoła było bez liku.

Ale pomocy nie było.

W końcu pojawił się chłopak

wziął go łagodnie pod ramię

i poprowadził z powrotem.

O jak radośnie wywijał

białą laską, meldował,
że można znaleźć człowieka.

PISARZ EMIGRACYJNY

Miał kiedyś pisarz emigracyjny
komfort dystansu, który izolował
a patrząc z dala nie dostrzegał trywiów
ani nikczemnych ciosów niżej pasa.
Mógł się zajmować szerszą perspektywą
ogólną panoramą, widokami z góry.
Technologia nam zniosła przestrzeń
i na ekranie poznać każdą zmarszczkę

naszych idoli oraz adwersarzy.

Lecz jak w tej ciżbie odróżnić warhoła

od lojalnego obywatela, kto nie na szaniec

lecz na wiece, rozpoznać pospolite

ruszenie od zadymy? Emisariusze

wszelkiej prywaty zdolni przez Atlantyk

wieźć swoją bibułę. Za późno

coś robić na pochwałę grodu,

sprywatyzowany ma różnych kasztelanów

którzy się wiecznie wadzą o swoje trybuty.

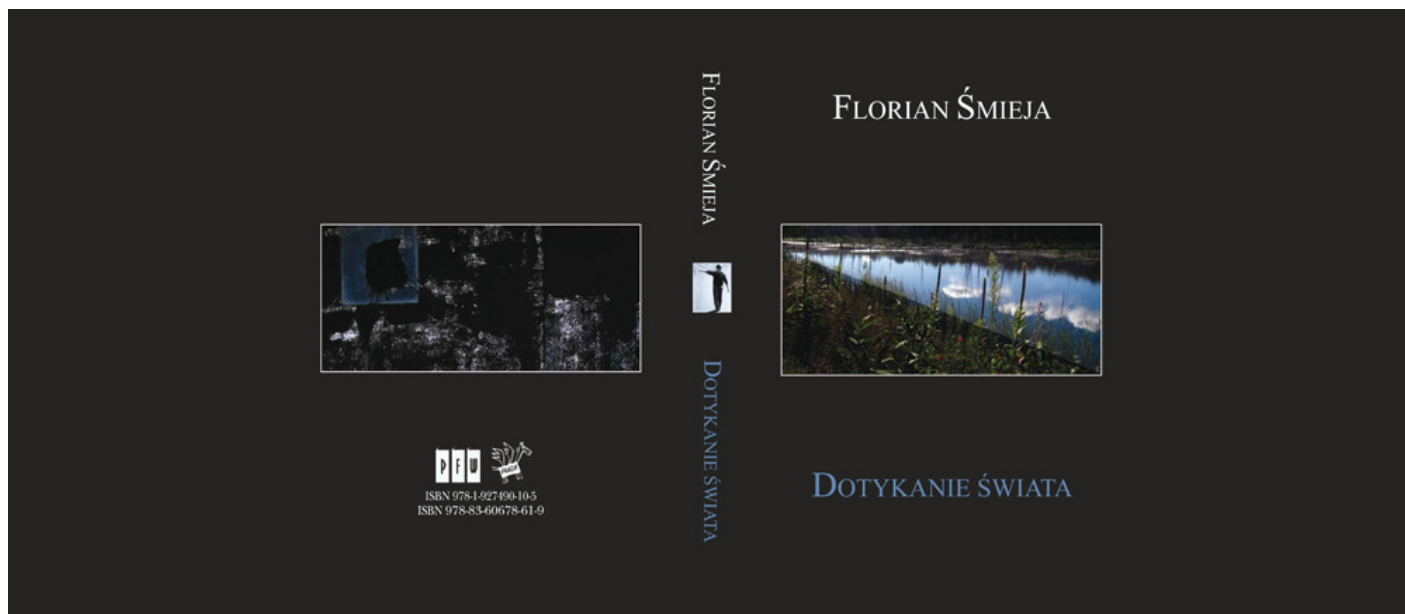
MARNOŚĆ

Jeżeli ludzkie przekonania to piasek,
który wiatr rozwieje, to co są warte
konfabulacje otwartego człowieka
chcącego pojąć zawilności świata
a mężnie zachować się wobec bytu?
Czy na darmo trzodzi się kontemplacją
I w samotności przpędza swój żywot?
Marność nad marnościami ostrzegało
Pismo od wieków acz z niewielkim skutkiem.
Pozostawiając nam wszystkim nadzieję
mędrzec podpowiada, by z nędzy bytu
wykrzesać to, co tą nędzą już nie jest.

DOTYKANIE ŚWIATA

Dotykanie świata obyło się bez
mierzenia sił na zamiary. To raczej
zrządzenie losu, co bosego malca
ze śląskiej nadgranicznej prowincji wiódł
w labirynty niespodziewane, potem
bezpiecznie przez zawieruchy prowadził
po złudne laury i honory świata,
o którym synek z Kończyc skrycie marzył.

*Florian Śmieja, Dotykanie świata, Polski Fundusz Wydawniczy w
Kanadzie, Toronto-Rzeszów 2016 r.*



Obłąkane wiersze Rafała Wojaczka

Florian Śmieja



Rafał Wojaczek, fot. Instytut Mikołowski.

We Wrocławiu nieraz chodziłem na sąsiadujący nieomal z Hotelem Asystenta, w którym mieszkałem, cmentarz św.

Wawrzyńca, aby w jego ciszy pomedytować nad granitowym głazem mogiły Rafała Wojaczka.

Nie brak wśród poetów postaci tragicznych, fatalnych, ofiar ciemnego losu. Dawniej bywała nim choroba podcinająca młode skrzydła, na którą nie znano lekarstwa. Później zdarzały się wypadki, gdy artyści śmierć sobie zadawali sami, nieraz z premedytacją, dzieląc się swoimi zamiarami z publicznością, orkiestrując w pewnym sensie swoją śmierć na oczach wielbicieli i współtworząc jeszcze za życia własny mit. Do takich postaci zaliczymy Rafała Wojaczka (1945-71).

Urodził się w Mikołowie pod Katowicami w 1945 roku w rodzinie nauczycieli. Mieszkanie dzięki pietyzmowi lokalnych miłośników literatury, jest dziś centrum kultury, gdzie odbywają się odczyty, wieczory autorskie i wystawy. Szkołę średnią ukończył w Kędzierzynie, zapisał się na filologię polską w Krakowie, ale zrezygnował po jednym semestrze. Zamieszkał we Wrocławiu próbując utrzymać się z pióra. W 1966 roku ożenił się z pielęgniarką, którą poznał w klinice psychiatrycznej. Miał z nią córkę Dagmarę, lecz małżeństwo się wnet rozpadło. Wojaczek zmarł tragicznie 11 maja 1971 roku we Wrocławiu.

Piotr Kuncewicz w historii poezji ostatnich dekad dodaje:

Właściwie samouk, obarczony jakimiś pokrętnościami psychicznymi, bardzo zdolny i przystojny, a na dodatek od początku cieszący się literackim powodzeniem. Chuligan i lump, zdeklarowany alkoholik, awanturnik popadający w konflikty z prawem, pacjent szpitala psychiatrycznego, a równocześnie błyskotliwy talent i osobowość mistyczna, pogrążona w rozpamiętywaniu mroków świata i nieuchronności śmierci.

Ileż to razy słyszymy ostrzeżenie, by nie łączyć twórczości z życiorysem twórcy, że to są dwie różne sprawy, że dzieło oddziela się od swojego autora. A przecież sam Wojacek napisze:

...Poetą się jest. Jest się nim żyjąc. Zaś bywa się czasem skrybą, czyli grafomanem. Bywa się nim wtedy, kiedy braknie siły, by dźwigać ciężar swego życia. Wtedy ucieka się do ogródka sztucznym sposobem ogrodzonego i sadi się smętne kwiatki na schludnej grządce...

Zdaje się też mówić to samo w dystychu: „Nie myślą o Bogu,/tylko szukają sposobu!”

W autobiograficznym poemacie prozą „Sanatorium” Wojacek rozszczepiał swojego protagonistę, którym był sam, na dwie osoby: przedstawianego in actu Sobeckiego (pamiętamy, że takim nazwiskiem, nazwiskiem panińskim matki, Wojacek się nieraz podpisywał) oraz Piotra, jego krytyczne alter ego (imię trzeźwego inspicjenta nie bez kozery jest tutaj imieniem starszego brata). Pierwsza z nich to Rafał Wojacek, który działał, druga – rzeczowy obserwator jego postępowania.

Edward, ojciec Rafała, słowami syna, „miał wiele z jego powodu zmartwień”. Pochodzący z chłopskiej rodziny ojciec ciężką harówką zdobył wykształcenie, był później powstańcem śląskim, kacetowcem i nauczycielem licealnym. Z niepokojem obserwował poczynania syna, z troską tym głębszą, że sam w młodości miał okres trudny, z którego się jednak wydobył. Wychodził z pokoju, kiedy Rafał umyślnie przechwalał się swoim trybem życia. Ale materialnie mu pomagał i jeździł do niego, choć często ich spotkania kończyły się sprzeczką.

Rafał (trzeźwo myślący Piotr w tekście) zapisze: „A przecież obaj dążyli do spotkań i przez pewien czas wspólnej obecności umieli cieszyć się nią”. Potem jednak wybuchały zrozumiałe scysje. Ojciec wyjeżdżał rozdrażniony do swojej szkoły, syn, słowami Wojaczka, „do swej literatury, do swoich obłąkanych wierszy...” I przyznawał, że każdemu szło o obowiązek, że obaj mieli rację. Syn miał rosnące poczucie winy. Ojciec natomiast często czytał

utwory syna szukając w nich dowodu na patologię, ale był również doskonałym krytykiem tych wierszy, choć ogarniał go strach widząc, dokąd to wszystko mogło prowadzić. Kiedy z czasem dochody ojca stały się skromniejsze, a widmo starości kazało mu oszczędzać, skończył hojne dotacje dla syna, którego reakcją, pewne zniechęcenie w miejsce dawnej pasji, poczytywał za wychodzenie z nieszczęśliwej sytuacji psychicznej.

Jeżeli tak układały mu się stosunki z ojcem, a nie pomagała im wcale lektura pamiętników Kafki, to jakie miał stosunki z matką? Listy, które do niej pisał, były jedną serią komplementów i próśb o paczki. Ale w innym tekście Wojaczek-Piotr opowiada nonszalancko o zachowaniu się Wojaczka-Sobeckiego względem matki.

O nieszczęsna matko jego, która mu zawsze, kiedy tylko sposobną ku temu znalazła okazję, powtarzałaś: Synku, pamiętaj, szanuj się! A miałaś na myśli zarówno zdrowie jego, o które nie dbał ku wielkiemu twemu utrapieniu, a także nadwreżeniu finansowemu, jako że będąc młodym poetą nie korzystał z dobrodziejstwa ubezpieczenia społecznego i za lekarstwa, jakich sobie żądał na chorobę, musiałaś płacić stuprocentową należność; a przede wszystkim, powiadając tak do niego, myślałaś o jego opinii u ludzi, którą szargał sobie niebywale. I oto za to, że żadnych

wymagań w stosunku do niego nie miałaś poza tym jednym, aby czasem doniósł ci o sobie; za to, że dbałaś, by ubrany chodził jak człowiek; że baczyłaś, by miał się w co ubrać ciepło, by skarpetki miał całe, by gacie miał czyste, by nie chodził w dziurawych butach, by rękawiczki miał na zimę oraz szalik ciepły, by koszule miał choć dwie na zmianę, by miał płaszczyk odpowiedni na chłody, by chustek do nosa stosowną zawsze miał ilość, by spodnie mu nie przeświecały na tyłku, by marynarka była nie przetarta na łokciach, by sweter miał i piżamę i papucie; za to, że mu paczkę co tydzień posyłałaś, by mu nie brakowało kawy, herbaty, cukru i papierosów, by masła używał, by sera podjadł, by kiełbasą się posilił; za to, że o pościel jego dbałaś, o czysty ręcznik i o to, by mu mydła nie zabrakło oraz pasty do zębów; za to, że troszczyłaś się, czy ma dobrą szczoteczkę do tychże, grzebień do włosów i wodę kolońską dla powabu; za to, że dbałaś, by mu papierosa do pisarskich potrzeb nie zabrakło; za to, że zebrałaś o ten papier u znajomych maszynistek; za to, że mu dostarczałaś ołówków, gum, notesów, zeszytów, spinaczy, kleju i wszelkich innych przyborów kancelaryjnych; za to, że opłacałaś za niego mieszkanie, że grzywny płaciłaś tak, był ojciec się nie dowiedział, że pokrywałaś sumy nakazów płatniczych kolejowych i komunalnych rozumiejąc, że musiał jechać, choć nie miał pieniędzy; że wykupywałaś go z aresztu, że comiesięczną sumę alimentów na córkę, której znać nie chciał, posyłałaś; że pisałaś do niego listy

zawsze mając dlań słowa pociechy w trudnym życiu jego; za to, że byłaś najlepszą matką mimo jego oszczerstw, jakie na ciebie ciskał, jakie odważał się, sprytnie ujawszy w wierszowaną formę, cynicznie podawał do publicznej wiadomości na ból twój i rozgoryczenie; za to, że mu nigdy bólu swego i rozgoryczenia nie okazywałaś, okazując jedynie troskę o to, by mu się jak najlepiej wiodło w niewdzięcznej pracy literackiej; za to że go do uzdrowisk wysyłałaś, opłacając pobyt; że go zabierałaś do Kazimierza i Kołobrzegu, do Połczyna i Iwonicza, by odetchnął, by sił nabrał, a on się na wstyd i pośmiewisko narażał, w awantury się wdając i wszczynając burdy; za to, że był twoim synkiem najukochańszym, najlepszym, zawsze oczekiwanym, hołubionym, obsługiwanym; za to wszystko tak ci się odwdzięcza, szargając nazwisko i dobre imię matki Polki, w podejrzenie podając twoją troskę, twój trud włożony w jego wychowanie, w kształtowanie jego obywatelskiej postawy, zaufanie podważając w twoje poczucie obowiązku i w twoją miłość matczyną, jedyną, cierpliwą, wierną i wieczną.

W jednym z najczęściej cytowanych wierszy Wojaczka pojawiły się splecione razem ważne w jego poezji postacie Matki Boskiej, Polski i matki:

Matka mądra jak wieża kościoła

Matka większa niż sam Rzymski Kościół

Matka długa jak transsyberyjska

Kolej i jak Sahara szeroka

I pobożna jak partyjny dziennik

Matka piękna niczym straż pożarna

I cierpliwa jak oficer śledczy

i bolesna jak gdyby w połogu

I prawdziwa jak gumowa pałka

Matka dobra jak piwo żywieckie

Piersi matki dwie pobożne setki

I troskliwa jakby bufetowa

Matka boska jak Królowa Polski

Matka cudza jak Królowa Polski

Miał starszego o 12 lat brata. Podobnie jak o matce ironicznie, Wojacek opisuje go w tymże tekście raczej kąśliwie:

Pan inżynier, odpowiedzialny pracownik wojewódzkiego urzędu, mający pod swoją pieczę sprawę czystości powietrza, którym oddychają obywatele, mąż żony swej Elżbiety, pracownicy naukowej, zajmującej się zagadnieniem czystości wód, w których ryby żyją na pożytek obywatelom; pan inżynier, właściciel samochodu marki trabant, dbający o niego i myjący go co sobotę przy użyciu gąbki, a także specjalnego szamponu dla samochodów, dbający także o czystość i porządek w mieszkaniu, przy czym dbałość ta z czasem przerodziła się w chwalebny manię o podłożu paranooidalnym, przez co ani jeden najmniejszy pyłek nie miał prawa bytu na rozległych i znakomicie wypolerowanych płaszczyznach parkietu; pan inżynier, prowadzący tryb życia rozważny, w ten sposób, by każda chwila procentowała godziną gotowizną, nie mogący poświęcać zbyt wiele czasu lekturze, gdyż zmuszony zarabiać na samochód, na benzynę do niego, na dom, na reprezentację, wolne chwile, jakich niezmiernie miał mało, poświęcający pracy w przydomowym ogródku, hodowaniu truskawek, pietruszki i róż;[...] Piotr nocą przechodząc pod oknami domu, w którym brat jego odpoczywał po znoju dnia powszedniego, dla bandyckiej i wysoce niespołecznej fantazji budził śpiącego oraz żonę jego,

kamieniami tłukąc szyby w oknach...więc pan inżynier ze snu i tak niestety niespokojnego wyrywany tak brutalnie ruszał w pościg za złoczyńcą, co było o tyle łatwe, że Piotr wcale nie zamierzał uciekać, najczęściej z powodu swego stanu nie zdający sobie sprawy z zaistniałego faktu....

Był jeszcze młodszy brat, aktor, Andrzej. Trzeźwy młodszy brat, wedle określenia poety. Pamięta on swojego trudnego brata z niechęcią. Bo był źródłem niekończących się cierpień rodziny, źródłem różnych wieści, autorem szokujących obrazów w wierszach. Napełniał bezradnością i lękiem o przyszłość. Rafał, owszem, cierpiał, ale i swoim dostarczał cierpień, więc w końcu podziw dla artysty ustępował złości wobec zarozumiałego sprawcy nieszczęść własnych i cudzych.

W liście do Stefanii Cisek, dopiero niedawno ujawnionym we fragmentach, Wojacek się spowiada:

...Doszło do tego, że boję się siebie samego. Nie wiem jak się w pewnych sytuacjach zachowam. Wtedy - 10 września (1964) - wziąłem żyłkę, przeciąłem tętnicę i odkręciłem kurki gazowe. I obudziłem się na stole operacyjnym... Buduję więc na nowo gmach złudzeń - ale buduję na piasku, nędzne to podwaliny.

To jest okropny stan – świadomość, że w każdej chwili można ponownie chwycić żyletkę. Teraz wychodzą na jaw idiotyzmy teorii o rzekomej „wolności” człowieka. Trzeba mieć zawsze jakieś ponad subiektywne, nadrzędne normy – trzeba mieć cel!

Tak jak w swoim dzienniku-pamiętniku „Sanatorium”, Wojacek czasem pisał wiersze sobie je dedykując, które mówiły o tzw normalnym życiu, którego unikał. Oto fragment jednego z nich, gdzie wylicza swoje możliwości:

czasu

Mogąc mieć swoją gwiazdę i manierę własną

I przy pewnych dochodach mieć jeszcze dość

Aby kochać miłością w dobrym tonie smutną

Ale pożywną, jakąś dziewczynę niegłupią

Studentkę filologii albo medycyny

Zamożną z domu, ładną, z gustem oraz czystą

-

Ty mogłeś być poetą. Ale ciągle 'nie'

Uparcie powtarzając dziś nie wiesz, kimś
jest!



Rafał Wojaczek, mat. arch.

Tymoteusz Karpowicz, który Wojaczka znał i czuwał nad jego wczesnymi poetyckimi krokami, we wstępie do „Utworów

zebranych” wydanych przez Ossolineum wyjaśnia, że życiowy wybór Wojaczka był osobisty i trzeźwy, że nie było żadnych przyczyn, by eksperymentować ze zdrowiem, wybierać tradycję lumpa ani alkoholika. Jego szaleństwo skierowane było w niego samego, pośrednio w rodzinę. To, co zaczęło się jako chłopięca zgrywa, z czasem stało się grą na serio i przeznaczeniem, z którego nie zdołał się już wywikłać.

Wrodzona większa wrażliwość sztucznie podsycana, pozycja wybijającego się młodego poety, sprawiły, że Wojaczek uzyskał status zbuntowanego artysty obracającego się na pograniczu choroby psychicznej. Nie godząc się na żaden z dostępnych światów, postanowił stworzyć sobie swój własny.

W wierszu na Nowy Rok 1970 napisał m.in.

Rok łagodnego światła

Wzrok zdolny cieszyć się

Słuch cierpliwy i chłonny

Głos jedyne Boga

Dłoń kochanej kobiety

....

Chleb z zasłużonej mąki

Schron bezpiecznego domu

Gość poproszony w dom

...

Noc spokojna

Sen co przynosi sny

Sny a nie koszmary

Świt nieokrutny

Strach opanowany

Gest odmierzony

Puls równy

...

Śmiech niehisteryczny

Smak subtelny

...

Mróz nieuciążliwy

Piec ciepły

Łyk dobrej wódki

Woń róży

...

Cel wytyczony

śmierć pobożna

Nie dla mnie.

Liczyć chciał tylko na siebie, na swoje ciało i na swój organizm. Do podstawowych desygnatów wcześniej wziął śmierć obok poezji, miłości i ojczyzny, które zresztą ambiwalentnie się u

niego łączą. Pragnąc siebie potwierdzić, poeta zadaje sobie autentyczny ból. Gnębi go depresja. Miewa kaca, wymiotuje. Te wszystkie stany umyślnie sprowadzone na siebie stały się w końcu kontrolowanym szaleństwem. Wojacek ćwiczy wolę przeciwko sobie, sam padnie jej ofiarą. Gotowość samozniszczenia obnosi wśród znajomych okaleczając się. Grał z całą świadomością tworząc legendę i chciał, by świat mu się przyglądał z uwagą. Sztucznie głoduje, w próbie uratowania wzniosłości poezji poświęca jej kobietę, brnie przez wszystkie upadki fizyczne i moralne, destrukcję i poniżenie. A to wszystko zdawał się robić z lęku o ztratę tożsamości, gdyż ważna dlań była jedynie własna inność.

Atakowanie, jak byśmy powiedzieli, wszystkich świętości było dlań badaniem ludzkiej wytrzymałości. Roił sobie, że właśnie upadek i poniżenie prowadzą do oczyszczenia. Otoczenie znało go jako osobnika psychicznie obolałego, z kompleksami, niezdolnego do podjęcia normalnej pracy. W Krakowie postawiono mu diagnozę, która go, jego zdaniem, piętnowała. Określono go jako psychopatę z tendencjami schizofrenicznymi. Spędził pewien okres czasu we wrocławskiej klinice, miał przed samą śmiercią być badany przez wybitnego specjalistę.

Od czasu do czasu miał przebłycki rzeczywistości i robił nieśmiałe próby, by się ratować. W liście do Stefanii Cisek napisał posługuje się cytatem z Kafki: „Weź mnie, weź mnie,

splot błazeństwa i bólu”. Ale także rozumiał, że jest już dla niego za późno:

Zjechałem tu nie w porę
sezon jeszcze nie otwarty
a już miejscowi mówią
że tu się nic nie stanie.

Złakniony sukcesu został przez krytyka nazbyt wysoko postawiony, tak że jego chorobliwy egoizm przestał przyjmować przestrogi, nastawiony już tylko na zwycięstwa. Dopiero po zgonie Wojaczka Karpowicz ostrzegał, że śmierć poznajemy nie umierając, lecz żyjąc. Ale było za późno.

A przecież poeta sygnalizował swoje chorobliwe zauroczenie śmiercią w wielu kompozycjach. Tak np. kończy wiersz „List do nieznanego poety” , wiersz jak najbardziej autobiograficzny.

Pańską twierdzą i wygnaniem jest ten pokój
Wież ponad dobrem złem i społeczeństwem

Czy pan nigdy nie próbuje z niego uciec?

Z rozpaczliwych czterech kątów Piąty: śmierć

Kilka lat sukcesu mieszanego z rozpasaniem zdobyło mu legendę ochoczo przyjmowaną przez młodych. Krytycy podzielili się na hagiografów i oskarżycieli. Dostrzegali jego wielki egocentryzm, ale i zadziwiające widzenie świata „jakby od samego środka bebechów psychicznych”; zdumiewano się, że ze zwykłych słów potrafił pokazać świat w zupełnie innych kolorach, że z organicznego plugastwa zrobił coś urzekającego, nie rozumiano, jak tak młody człowiek mógł widzieć rzeczy ekstremalne, brzydotę wyrażał w rygorach stylistyki i mistrzowsko sprawnego języka. Te cechy zauważył H.Worcell, który przesował wrocławskim pisarzom. Do największych promotorów Wojaczka, oprócz już wymienionego Tymoteusza Karpowicza, należał Bogusław Kierc, a pozytywnie wyraża się o nim m.in. Jacek Łukasiewicz, który pisząc po dwudziestu latach nazwał jego poezję „rygorystyczną i swoiście pełną”. Z tym chętnie się zgodzę. Trudniej natomiast przychylić się do jego opinii, że „czyta się te wiersze z radością”. Zdumiewający to dla mnie kwalifikator uczucia powstającego przy lekturze tych osobliwych mimo wszystko wierszy.

W mojej opinii, prestidigitatorskie zręczności Karpowicza i

Kierca niewiele czytelnikowi pomagają. Erudycyjne fajerwerki nie oświetlają zadowalająca dokonań Wojaczka, usiłują go raczej dowartościować przez wymyślne asocjacje i całą ekwilibrystykę domysłów. W ostatecznym rozrachunku te wszystkie strategie nie potrafiły go, tak sędzę, z wydumania wynieść na jakiś grunt obiektywnie rozpoznawalny. Wiemy, że ogromnie pracował nad swoimi tekstami, że miał dziesiątki wersji, że niedługo przed śmiercią oświadczył, że jego dzieło poetyckie jest kompletne. Niemniej wątpliwe jest dla mnie, czy wygrał stawkę o poezję, choć spalił się w jej służbie.

Wielu czytelników widzi w tej poezji głównie figury stylistyczne, chęć epatowania obscenami, pozę eschatologiczną. Anonimowy recenzent Wydawnictwa Literackiego z Krakowa odrzucając proponowany przez Wojaczka do druku zestaw wierszy napisał m.in.:

Są to wiersze dla socjologa raczej niż dla czytelników. Jeżeli nawet istnieje środowisko dla odbioru tego rodzaju 'poezji', należy otoczyć je opieką i wychowywać. Jestem przeciwko nobilitowaniu chuligańskiej hysterii do rangi sztuki... Obsesje były, są i będą motorem wielu utworów, nie można jednak tolerować wulgarności i szokowania ekshibicjonizmem.

Inny krytyk pisząc o obsesyjnych motywach w końcu załamuje

ręce:

Ale od tych wszystkich kroczy, jelit, odbytów, glist, wymiotów, penisów aż tu gęsto.

Czy więc sama sprawność formalna może ratować jego twórczość? Czy taka krańcowość uprawnia do miejsca w literaturze? Czy te głodówki, pijane ekscesy, wyskakiwanie przez szybę, kaleczenie się umyślnie otrzymały ekwiwalenty słowne w myśl, że życie to sztuka? Stąd to *votum separatum* krakowskiego krytyka. Tragiczne więc nieporozumienie, nieszczęśliwa aberracja, koszmar, obłąd, a mniej sztuka.

Nie obywa się przy tym bez paradoksów. Większość krytyków podnosi cnotę pisarską Wojaczka, tj. bezpośredniość wyrazu, autentyczność, szczerłość, spontaniczność. Niczego podobnego jednak w niej nie znajdujemy. Materiał jego jest wybitnie literacki i przeszedł przez zmuszoną obróbkę fachowca.

Życie jawiło mu się jako maska śmierci, z którą najpierw igrał, jak Don Juan ze statuą komentatora, a kiedy ona w końcu rzeczywiście zapukała do jego bramy, wpuścił ją, bo już mu honor nie pozwalał wycofać się ze sprawy. Wojaczek zapowiedziawszy swoje odejście, czekał na odpowiedni moment, aby targać się na swoje życie, i to nie w chwili nieopanowania,

ale w chwili wyważonej, i konsekwentnie zamiar swój zrealizował. Odratowany, gdy próbował się powiesić (w jednym z wczesnych wierszy szukał swojej szubienicy), otruł się środkami nasennymi, których pełny spis pozostawił na skrawku papieru donoszącym o samobójczej śmierci Borowskiego. Ta śmierć miała go zniszczyć, ale także unieśmiertelnić.

Mniej heroicznie natomiast brzmi czterowiersz Rimbauda zakreślony w ramkę, z adnotacją Wojaczka na marginesie „dobre jako przestroga”, znaleziony w egzemplarzu jego lektury:

Młodości próżniaczej
w jarzmo nikt nie chwycił,
przez łatwość wybaczeń
zmarnowałem życie.

Uparta choroba prowadziła Wojaczka do samozagłady. Mając niepospolity dar słowa szukał w literaturze, w poezji ratunku dla siebie. Posiadał często klarowną świadomość inności, potrafił jednak doceniać wartości przez siebie z różną gwałtownością negowane i chętnie z nich korzystał.

Brutalne wyuzdanie i częsty sadyzm wskazują, że padł ofiarą swoich ciemnych demonów: wzywał je, dał im się opętać, a wciągnięty do ostatecznej rozgrywki, w końcu jej nie sprostał. Pozostanie on dla nas niepojętym, zdumiewającym znakiem.

„Dotykanie świata”



Promocja tomu wierszy Floriana Śmieji „Dotykanie świata” w Konsulacie Rzeczypospolitej Polskiej w Toronto, 22 listopada 2016 r. Prowadzenie Edward Zyman.

Rozmowa z profesorem i poetą Florianem Śmieją

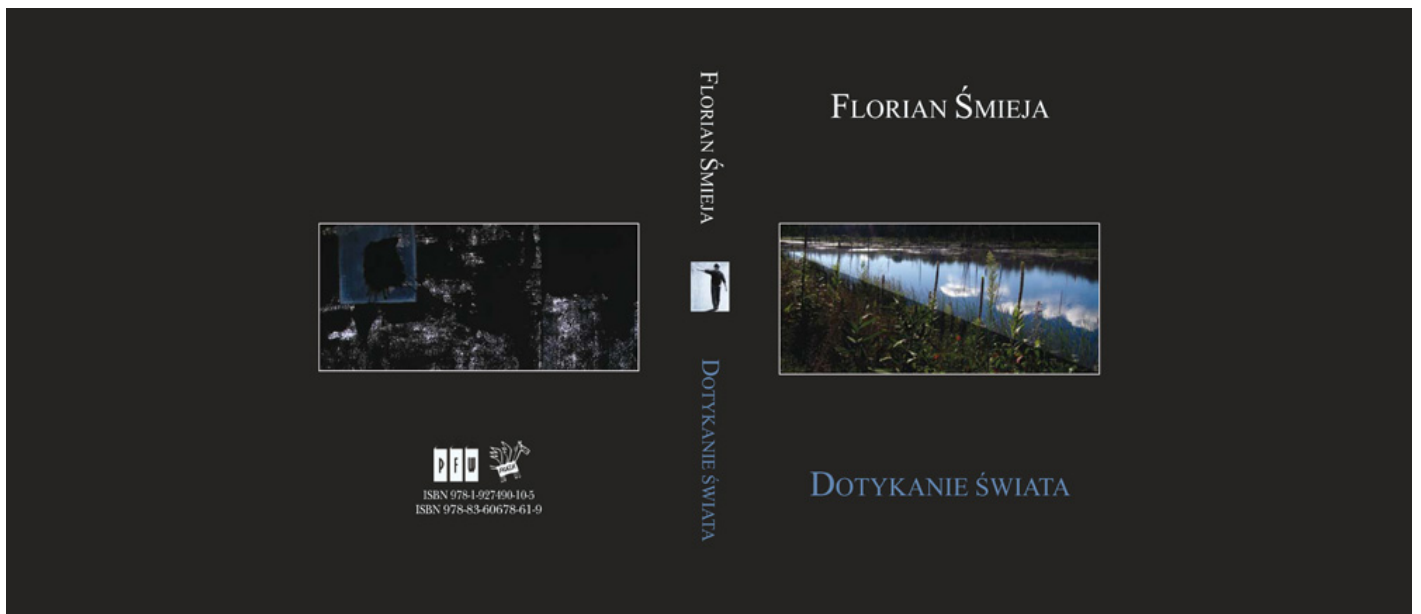
Joanna Sokołowska-Gwizdka: Panie profesorze, w listopadzie ukazał się tom Pana wierszy „Dotykanie świata”. Jest to podróż przez myśli, obserwacje i emocje z całego Pana życia, począwszy od utworów z tomu „Czuwanie u drzwi” wydanych w roku 1953 aż po najnowsze. W Pana wierszach pojawiają się motywy katastroficzne, mocno zarysowane we wczesnym okresie twórczości, w późniejszym – w warstwie semantycznej łagodnieją, ustępując miejsca refleksji nad sensem bytu.

Florian Śmieja: Byłem świadkiem, a potem uczestnikiem wojny światowej, więc nic dziwnego, że jej horrory zaznaczyły się mocniej w mojej twórczości. Później czasowe oddalenie i zaistniały dystans sprawiły, że odezwały się łagodniejsze tony, a te pozwoliły na zadumę i refleksyjność, na pragmatyczne docenienie stanu posiadania.

JSG: Część z Pana wierszy to małe traktaty filozoficzne pełne

rozważań egzystencjalnych. Stawia Pan pytania bez odpowiedzi.

FŚ: Nieraz nas frapuje nieprzewidziany kalejdoskop rzeczywistości i staramy się sformułować swoje niedowierzenie. Stawianie pytań jest łatwiejsze niż ferowanie konkluzji, bo odpowiedzi są trudne, wieloznaczne, często wręcz niemożliwe. Odnoszę wrażenie, że zamiast czuć się *homo sapiens* człowiek jest *homo quaerens intellectus*, raczej istotą dociekliwą, szuka rozumienia, a sama taka aktywność nas już nobilituje.



JSG: Motywy emigracji, ziemi utraconej, wyobcowania, powrót do wspomnień, kraju dzieciństwa, często pojawiają się w Pana utworach. Czym jest dla Pana emigracja zarówno ta fizyczna, jak i duchowa?

FŚ: Emigracja była nieprzewidzianą i niepożądaną przypadłością. Zdemobilizowany po zakończeniu wojny w Anglii, miałem różne pomysły włącznie z zostaniem rybakiem dalekomorskim. Byłem już na kursie w szkockim porcie Aberdeen, kiedy otworzyła się możliwość studiów humanistycznych w Irlandii. Te mi się powiodły i poszcęściła kariera zawodowa. W rezultacie ułatwiły mi funkcjonowanie w obcym społeczeństwie, a ówczesne liczne i prężne polskie ośrodki i żona Polka sprawiły, że zachowałem swoją tożsamość i nie nastąpiło wykorzenienie. Pokrewne duchowości zapewniły rodzinną harmonię i godziwy rozwój. Nie musiałem też „pisać na Berdyczów”, bo mogłem wielokrotnie odwiedzić kraj lat dziecińczych i spotkać jeszcze niektórych pamiętanych ludzi.

JSG: Czy pamięć to istnienie, a niepamięć to lekarstwo na pamięć?

FŚ: Pamięć nazwałem w jednym z wierszy „glejtem na stare lata”. Tamże wzywam:

pielegnujemy pamięć

skoro nic poza nią nie istnieje.

Bo w chwili próby nie możemy być sami

świat zapamiętany będzie cumą

zbawienną, zapisem wypełnionego...

JSG: Jest Pan mocno osadzony w literaturze i kulturze hiszpańskojęzycznej, włada Pan biegle językiem angielskim, zna Pan język niemiecki. A jednak językiem Pana poezji jest głównie język polski.

FŚ: Słyszy się opinię, że poezję pisze się w języku odebranym od matki, czyli w języku, który jest dla człowieka najbardziej intymny. Pisanie w obcym języku, angielskim czy hiszpańskim, właściwie nie wchodziło w grę. Próbowałem, ale to się nie udawało, raczej wmawiałem sobie, że coś się udało napisać, ale myślę, że to były nieudane próby. Jednak ten język matczyny, dla każdego jest podstawowy, zażądał swoich praw i wydał się najśluszniejszym. Dlaczego? Bo jak ja napiszę coś po polsku, myślę oczywiście o wierszu, to mam pewność, że to jest właśnie to, co napisać chciałem, nawet jeśli to trzeba poprawiać,

wprowadzać pewne korekty.

Każdy inny język, w moim przypadku angielski czy hiszpański, wymagałby jeszcze człowieka, dla którego to jest język naturalny i który potrafiłby wyłapać wszystkie jego niuanse. To właśnie było powodem, że zostałem przy polskim. Był moment, kiedy wraz z kolegami w Londynie zastanawiałem się, czy nie przejść na język angielski.

JSG: Nestor pisarzy polskich, Zygmunt Nowakowski, ani przez chwilę nie zwątpił, że zwycięży język polski.

FŚ: Mimo, że widział, iż stare i młode pokolenie pisarzy na uchodźstwie odnosiły się do siebie z obojętnością i chłodem, nie miał wątpliwości, co do tego, który język młodzi wybiorą. Decyzja nie zapadnie w dyskusji, argumentował: *Ona wykluje się sama, w samotności, w pasji, w trudzie, w męce, w wewnętrznym szamotaniu się. Decyzja taka nie może być dziełem rozważliwej. Ona przyjdzie pewnego dnia jak piorun. I będzie wyrazem solidarności, nie wykalkulowanej na zimno, nie wyrozumowanej, ale radosnej tajemniczej solidarności z Polską, przed którą nie da się uciec nigdzie, nigdzie ukryć, nigdzie zamknąć.* I dodał na koniec: *A język, zamiast kulą u nogi lub wędzidłem, stanie się ostrogą do lotu.*

JSG: Dedykował Pan tom „Dotykanie świata” swojej żonie. Czy

żona podróżując z Panem przez życie, podróżuje również przez tworzony przez Pana świat poezji?

FŚ: Żona, towarzyszy mi dzielnie od ponad 62 lat, wędrowaliśmy od Londynu przez Karaiby po Hawaje. Nie sposób negować jej zasadniczego udziału w dotykaniu świata. Wybieraliśmy wspólne wędrówki, względnie godziliśmy się na ofertę losu.

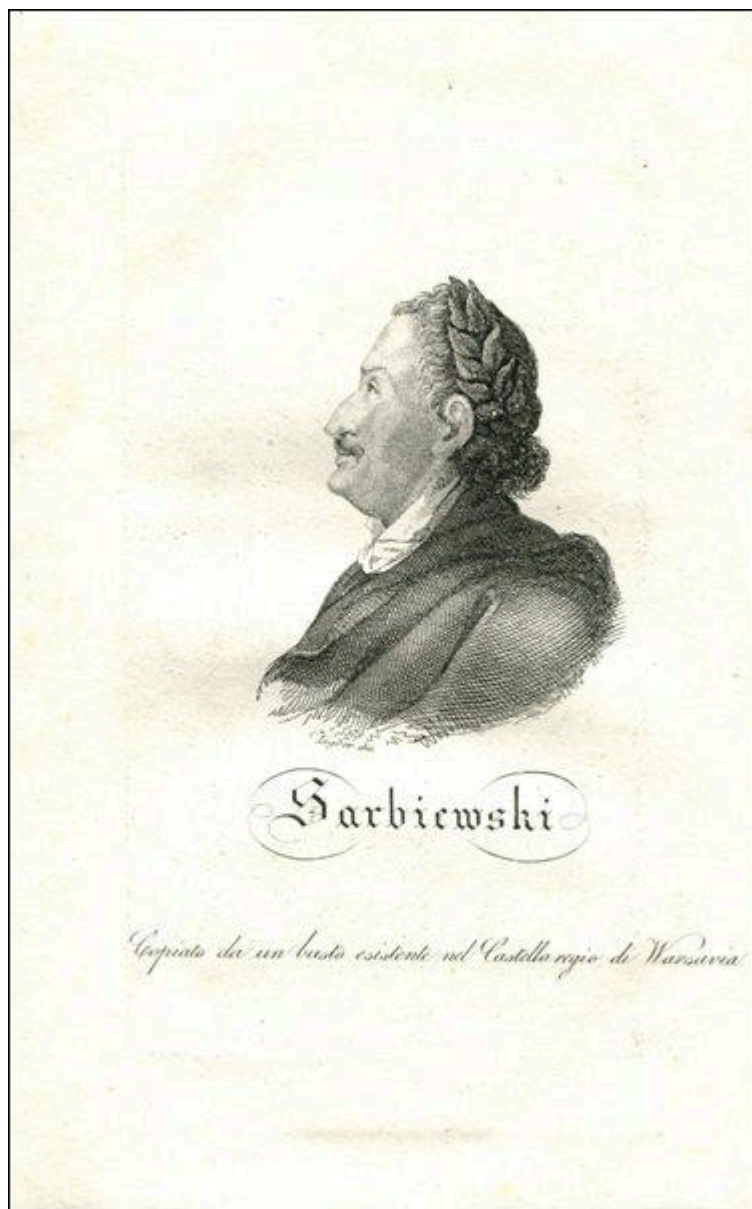


Florian Śmieja z żoną Zofią z Poniatowskich w 62 rocznicę ślubu
w lipcu 2016 r.

Sarbiewski – pierwszy prawdziwie europejski poeta

Romuald Mieczkowski

Litwa i Polska są członkami Wspólnoty Europejskiej. Czy jednak dopiero w maju 2004 roku znaleźliśmy się w Europie? Co stanowi naszą największą wartość w dobie historycznego otwarcia się granic i nowych możliwości? - te kwestie wciąż godne są rozważenia.

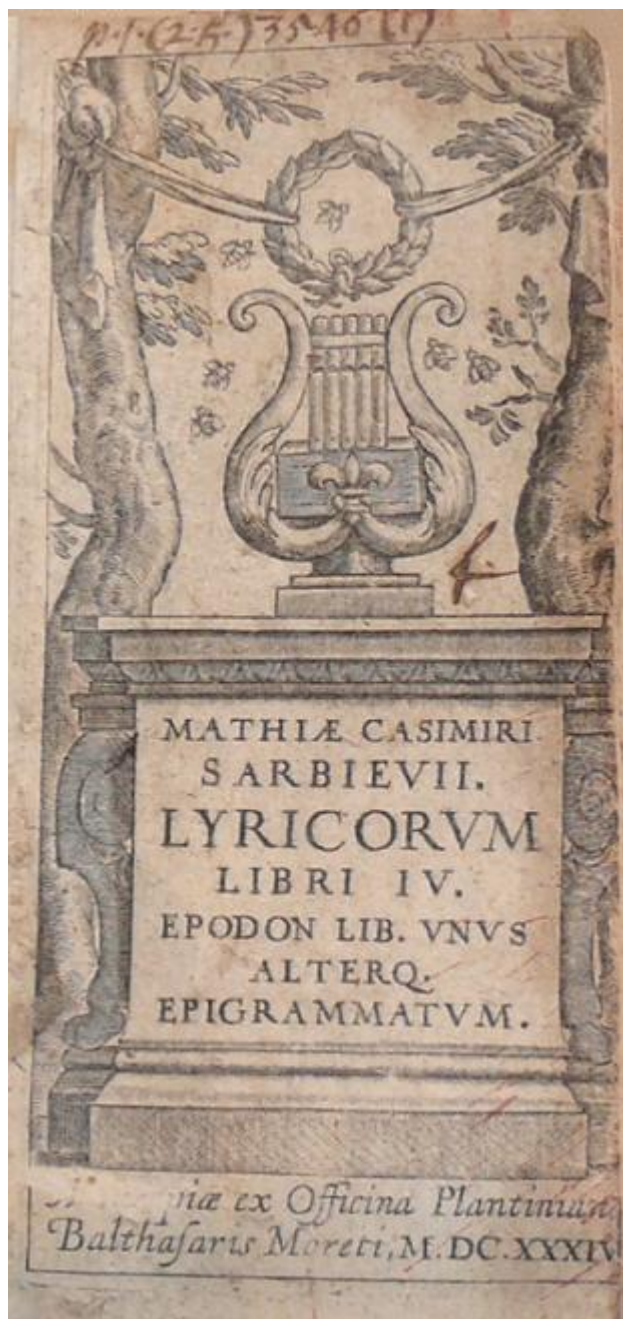


Dowodem tego, że nie dopiero teraz, lecz znacznie wcześniej nasi ludzie, przedstawiciele nauki i sztuki, byli znani w krajach Europy Zachodniej jest osoba Macieja Kazimierza Sarbiewskiego, urodzonego w 1595 roku na Mazowszu, w Sarbiewie niedaleko Płońsk i zmarłego w 1640 w Warszawie, poety i teoretyka literatury, najpopularniejszego przed Sienkiewiczem autora polskiego. Uczył się w kolegium jezuickim w Pułtusku, w 1612 roku wstąpił do nowicjatu Towarzystwa

Jezusowego w Wilnie, potem studiował w Collegium SJ Braniewie, wykładał jako magister poetyki i syntaksy (składni) w kolegiach jezuickich w Krożach (Kražiai) na Żmudzi i jako wykładowca retoryki w Połocku, następnie studiował w Akademii Wileńskiej teologię. Dalsze studia - w Rzymie i Collegium Germanum.

Debiutował w roku 1619. Jego twórczość, pisana po łacinie (co wówczas niejako odpowiadało dzisiejszemu statusowi języka angielskiego w międzynarodowym komunikowaniu się) była znana daleko poza granicami Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Wiersze jezuita Sarbieviusa czy Casimire o Matce Boskiej Trockiej (*Cztery mile Najświętszej Panny, czyli publiczna uroczysta procesja do kościoła Najświętszej Panny w Trokach*), napisane w Wilnie, wydane zostały w Antwerpii, kiedy ich autor przebywał we Włoszech, w Rzymie. W 1623 roku podbił swą twórczością Wieczne Miasto, dostał złoty medalion i został uwieczniony poetyckim wieńcem laurowym przez papieża Urbana VII, który jako humanista i sam poeta, należał do wielbicieli Sarbiewskiego. W 1625 roku jego pieśni zostały wydane w Kolonii. Sporo utworów poświęcił Wielkiemu Księstwu Litewskiemu i jego ludziom, Wilnu poświęcił odeę. Był przywiązany do tej Ziemi, od niego można wywodzić dzisiejsze pojęcie „Małej Ojczyzny”. Do wielu wierszy Sarbiewskiego dorabiano melodie.

Po powrocie, w 1626 roku, podjął pracę w Collegium SJ w Połocku, zaś w 1628 powrócił do Wilna, gdzie prowadził wykłady z zakresu filozofii i teologii, w tymże roku ukazuje się jego *Lyricorum*, zaś po dwóch latach w Antwerpii, z późniejszym wznowieniem. Był świetnie wykształcony, znał prócz łaciny dobrze włoski, francuski, grekę, grał na wielu instrumentach - na klawesynie, cytrze, harfie...



Zyskał sławę i przydomek Horacego Chrześcijaństwa i Horacego Sarmackiego, a to dzięki mistrzowskiemu opanowaniu formy horacjańskiej, głównie w odach i epigramach, dzięki której w poezji przedstawiał swą wizję świata (*Lyricorum libri IV*, 1632, z winietą zaprojektowaną przez samego Rubensa, miały około sześćdziesiąt wydań w różnych krajach Europy, były przekładane i naśladowane w Niderlandach, Anglii i Francji!). Był najbardziej “barokowym” przedstawicielem naszej literatury na świecie.

W latach 1633-1655 pełnił obowiązki dziekana Wydziału Filozofii i Teologii Akademii Wileńskiej, tutaj otrzymał doktorat. Od 1635 roku - nadworny kaznodzieja Władysława IV.

Sarbievius w swych pracach teoretycznoliterackich sformułował program literatury baroku - z uwzględnieniem piękna przyrody i

codziennego bytu z biblijnymi wątkami (*De perfecta poesi - O poezji doskonałej*, w zbiorze *Wykłady z poetyki, Poemata omnia*). Po raz pierwszy jego twórczość szerzej zaistniała po polsku w *Przekładach polsko-łacińskich epoki Zygmuntońskiej* (t. 4-5, 1851). Do poezji Sarbiewskiego nawiązywał Adam Mickiewicz - takie paralele można znaleźć bardzo często w *Panu Tadeuszu*, cenił go Władysław Syrokomla, który pisał:

W takiej chwili, kiedy sumiennie mówiąc, nie mieliśmy i nie mogliśmy mieć w kraju ani jednego prawdziwego poety, zagrział z Rzymu po Europie głos łacińskiej pieśni Polaka i jezuitę Sarbiewskiego.

Zachwycił się nim Józef Ignacy Kraszewski. Ta niezwykle barwna postać jest wciąż mało znana i potrzebuje znacznieszego upowszechnienia. Tym bardziej w dobie obecnej, gdy mówimy o związkach z kulturą europejską.

(...) poezja Sarbiewskiego dokonuje rzeczy niezwyklej: podkreślając zmysłowość świata, zarazem - wyzwala nas od niej, więcej: wyzwala nas od lęku przed śmiercią. Poeta nie twierdzi, że śmierć nie jest dramatem, on tylko pokazuje, że można go zniwelować, gdy odrzucimy strach, a podniesiemy na drugą stronę swą tęsknotę do piękna i prawdy

- napisał wybitny znawca twórczości Sarbiewskiego, prof. Jakub Zdzisław Lichański we wstępie do *Poezji wybranych* (1986).

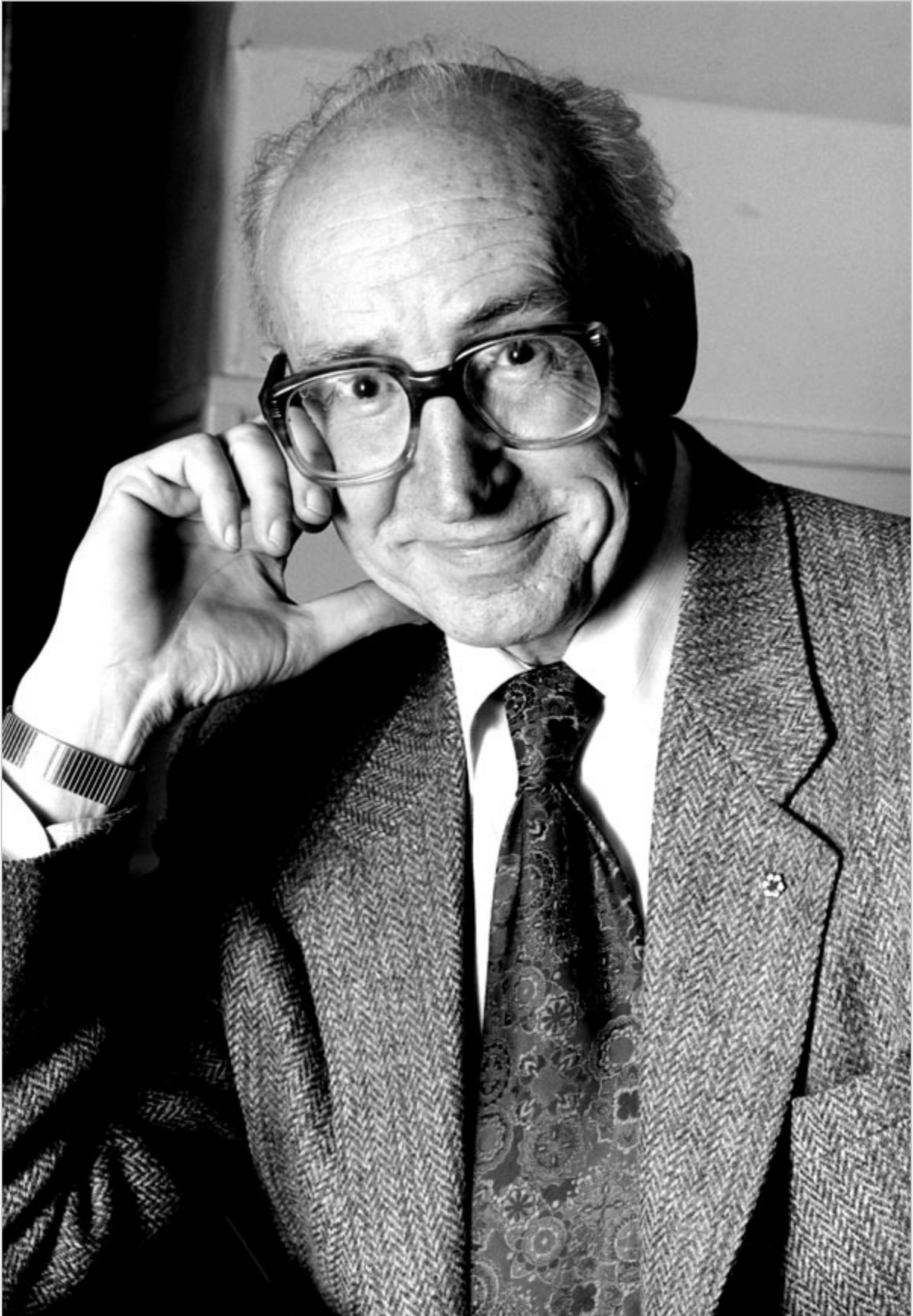
W innym miejscu (w *Nauce z poezji Macieja Kazimierza Sarbiewskiego SJ*, 1995) czytamy piękne stwierdzenie tegoż autora:

Poezja Sarbiewskiego, mimo że oddzielają nas od niej dwie bariery: czasu i języka, jest dla nas bardzo ważna. Przede wszystkim przypomina o wartościach, które są fundamentem kultury europejskiej. Tkwią one nie tylko w antyku i chrześcijaństwie, ale i w tradycjach narodowych. Musimy do nich stale sięgać; muszą one być dla nas siłą tworzącą; budującą przyszłość.

Natomiast noblista - Czesław Miłosz w „Historii literatury polskiej do roku 1939” stwierdza:

Sarbiewski doprowadził mającą długą tradycję poezję łacińską w Polsce do perfekcji i aż do dziś żaden poeta polski nie zyskał takiej sławy za granicą, jak Sarbiewski za życia i w okresie paru dziesięcioleci bezpośrednio po śmierci.

Louis Dudek – poeta
montrealški
(1918-2001).



Louis Dudek

Florian Śmieja

“Wkład Dudka do literatury kanadyjskiej był ogromny”, zanotował Robin Blaser. Zaden Kanadyjczyk polskiego pochodzenia nie przyczynił się do jej rozwoju bardziej od wpływowego i dynamicznego profesora uniwersytetu McGill, poety, krytyka, wydawcy i pedagoga.

Louis Dudek urodził się w ubogiej, przemysłowej dzielnicy Montrealu 6 lutego 1918 roku. Jego ojciec Wincenty przybył z Polski rok wcześniej i z powodu trudności językowych nie mógł znaleźć dobrej pracy, a matka, Stanisława Różańska, zmarła osierocając dwie córki oraz chorowitego syna, kiedy liczył osiem lat. Rodzimą tradycję kontynuowała sprowadzona z Polski ciotka. W katolickim domu czytano polskie książki i uczono tekstów poetów polskich na pamięć, szczególnie Juliusza Słowackiego, którego nieraz za karę, jak wspominał Dudek, musiał się uczyć. Od najmłodszych lat miał on do czynienia z mową wiązaną, a nawet brał udział w poetyckim konkursie marząc, by zostać poetą.

Wcześniej zarzucił kontakty z grupą polskich emigrantów w Montrealu i wszedł w szersze środowisko kanadyjskie. Co było powodem odejścia, nie wiemy. Bardziej niż rodacy pociągali go intelektualiści i poeci bez względu na ich pochodzenie.

Czuł się człowiekiem bez przydziału do określonej grupy społecznej, najlepszych przyjaciół znalazł wśród bohemy, w końcu stał się nacionalistą literackim, jak go określił Michael Gnarowski, jeden z jego późniejszych współpracowników o podobnym rodowodzie.

Ponoć po wczesnym spotkaniu z polską literaturą stracił z nią kontakt. No, może po zdobyciu Nobla przez Miłosza znów się o niej dowiedział. Trochę to dziwne, gdyż w domu, w polskiej szkole i kościele miał okazję do chłonięcia polskiej atmosfery szczególnie, że ojciec odgrywał ważną rolę w lokalnej polskiej społeczności a syn miał polskich kolegów zastąpionych później przez francuskich, a ostatecznie przez anglofonów.

Będąc jeszcze dzieckiem czytał "Pana Tadeusza", „Trylogię” i Słowackiego. Oglądał polskie przedstawienia teatralne, lubił polską muzykę popularną i kolędy, obchodził tradycyjne święta. Trudno mu było później określić wpływ polskiego środowiska na swoją angielską twórczość.

Kto wie, czy odstraszył go wąski nacjonalizm, który uważał za niepożądany, za powiększanie naszego indywidualnego ego poprzez grupową identyfikację. Był zdania, że tylko miernota jest przesadnie nacjonalistyczna, że wielcy ludzie byli obywatelami świata. Wolał samotność od chodzenia w gromadzie. Nacjonalizm był w najlepszym razie laicką formą religijnego

idealizmu. Prawdziwą wartość widział w osobowości i pojedynczym człowieku. Nie uważał patriotycznej poezji za prawdziwie wielką, był przekonany, że poeta pisze przede wszystkim o tym, co kocha, czego doświadcza i co doskonali, że idee są słabą pożywką dla poety. Współczesnej poezji, sądził, nie interesuje kolektyw, a tylko jednostka.

Wychowany w polskośći cenił bezpośredniość odczuć, otwartość na świat ale także jego obcość. Przyznał, że uważał za polskie dziedzictwo melancholię, uwrażliwienie, liryzm i refleksję, zmienność odczuć, religijne zainteresowania, racjonalizm, radykalizm i niecierpliwość.

Język polski z czasem zaczął w jego życiu ustępować bardziej atrakcyjnemu i ważnemu językowi angielskiemu. W konsekwencji tej fascynacji Dudek zapisał się na anglojęzyczny uniwersytet McGill i uzyskał licencjat z filologii angielskiej i historii.

Po skończeniu studiów miał się różnych zajęć dorywczych związanych z reklamą a jednocześnie poznał młodych poetów kanadyjskich jak John Sutherland, Irving Layton i Raymond Souster, z którymi miał w przyszłości ściśle współpracować. Jałowe zajęcie zawodowe wnet mu się sprzykrzyło, tak że je porzucił i wyjechał do Nowego Jorku, by podjąć pracę i dalsze studia na uniwersytecie Columbia. Tam wszedł w kontakt z amerykańskimi poetami z Ezrą Poundem na czele. Odwiedzał go

w szpitalu, w którym go zamknięto, a nawet pomógł w staraniach o zwolnienie go stamtąd. Potem prowadził z nim ożywioną korespondencję i pisał poezję pod jego urokiem.

Macierzysta uczelnia McGill zaprosiła wówczas Dudka do zakładu filologii angielskiej, w którym zaczął pracować jako asystent w 1951 roku i z czasem stał się jednym z najbardziej popularnych i lubianych wykładowców. Nie zaprzestał jednak pracy wydawniczej i wraz z Sousterem zaczął publikować czasopismo "Contact" a kiedy dołączył Irving Layton, powstało wydawnictwo "Contact Press". Przez lat piętnaście ten dom wydawniczy wypuszczał długą serię wybitnych tomów poetyckich. Wtedy też Dudek drukował własne utwory łącznie z obszernymi poematami eksperymentalnymi,

W latach 1957-66 kierował pismem "Delta" starając się zapełnić je treścią kanadyjską zgodnie z przesłaniem, że poezja musi powstawać w społeczeństwie i wpływać na jego akcje. Spośród poetów, których wylansował wtedy był Leonard Cohen, którego debiut "Let Us Compare Mythologies" rozpoczął poczet nowych poetów kanadyjskich. W 1970 zainicjował wydawnictwo "DC Books".

Mieszkająca wtedy w Montrealu Ewa Stachniak opracowywała audycje polskie dla radia. Zdołała ona nakłonić Dudka, aby nie tylko wystąpił w programie i opowiedział o swoich dokonaniach,

ale żeby przemówił do polskich słuchaczy po polsku. Bronił się, tłumacząc że nie znał już dobrze języka, ale w końcu się zgodził i audycja wypadła doskonale. Pamiętny wywiad radiowy ilustrowały moje przekłady dwu jego wierszy, które autorowi się spodobały i pamiętał o nich, kiedy go odwiedziłem w jego profesorskim pokoju w Montrealu. No, ale on słynął z ogromnej uprzejmości i wspaniałomyślności.

Należy może w tym miejscu przypomnieć, że trzy liryki Dudka w swoim przekładzie i z towarzyszącą notą ogłosił w paryskiej "Kulturze" (nr 157-158, 1960) Jerzy Niemojowski, emigracyjny poeta mieszkający w Londynie i wielki zwolennik poezji Ezry Pounda. Pracował on dorywczo w drukarni Oficyny Poetów i Malarzy Krystyny i Czesława Bednarczyków, która wydrukowała trzy tomy poezji Dudka: poemat "Europe" z ilustracjami Krystyny Sadowskiej w 1954 roku, "The Transparent Sea" w 1956 oraz "En Mexico" w 1958 z rysunkami Zygmunta Turkiewicza

Dla mnie nie ulega wątpliwości, że to jednak polskie pochodzenie i związane z nim kultywowanie w domu literatury, a później przykłady wybitnych poetów takich jak Miłosz, utwierdziły Dudka w przekonaniu, że należało coś zrobić, żeby również społeczeństwo amerykańskie i kanadyjskie wspomóc w jego walce o zachowanie wartości kulturalnych, żeby przetrwała poezja i literatura, aby nie pozwolić na ich eliminację przez komercję, by nie były na tym kontynencie tylko towarem.

Wspominał, że już jako siedemnastoletni chłopak zauważył nieobecność literatury, a przynajmniej jej niską wartość. To kazało mu o nią walczyć, tak że w konsekwencji całe późniejsze życie profesora, krytyka i pisarza temu zagadnieniu poświęcił, aby przywrócić jej prymat i godne miejsce w cywilizacji.



Poeci montrealscy: od lewej Irving Layton (1912-2006), Frank R. Scott (1899-1985) i Louis Dudek (1918-2001).

Przy tym był realistą. Rozumiał, że nie wszystko da się uratować, że trzeba się liczyć ze stratami. Wziąłem udział w 1984 roku w ogólnokrajowej konferencji w Ottawie poświęconej językowi, kulturze i tożsamości w Kanadzie. Uczestniczył w niej także Louis Dudek. Wypowiadał się na temat literatur tworzonych na ziemiach Kanady w językach innych niż angielski i francuski, w tzw. językach trzecich, nieoficjalnych, mylnie nazywanych językami etnicznymi. Jego zdaniem, niektóre wybitne jednostki, które emigrowały do Kanady, stanowiły wyjątki przynależały bowiem bezspornie do swojej macierzystej kultury, natomiast przesadzone całe grupy przypominały mu rośliny w doniczkach, rosnące nienaturalnie, będące nie na swoich miejscach. Im nie wróżył rozwoju ale stopniowy uwiąd. Bo choć Kanada sama też przybyła z Europy, to poprzez kilka stuleci wytworzyła dwa odrębne, ale silne nurty literatury, które się z czasem samookreśliły, a ostatnimi czasy pozyskały również inne dopływy. Taką pierwszą odmienną grupę stanowili pisarze żydowskiego pochodzenia jak Klein, Layton, Richler czy Cohen, którzy zaczęli odgrywać ważną rolę na narodowej scenie. Zdaniem Dudka etniczne kultury zakorzeniają się dopiero wtedy, gdy stają się częścią kanadyjskiego nurtu i uczestniczą znacząco w jego artystycznym rozwoju. Warunkiem niezbędnym jednak jest przyswojenie sobie jednego z oficjalnych języków.

Wysiłek intelektualny i artystyczny tzw. nowych Kanadyjczyków, imigrantów bez filiacji brytyjskiej czy francuskiej, na niewiele by

się zdał, gdyby nie potrafili, jak Dudek, opanować mistrzowsko jednego z panujących języków, w jego wypadku, angielskiego. To dzięki niemu mógł on efektywnie polemizować, nie podzielać technologicznego optymizmu Marshalla McLuhana i jego najnowszej iluzji postępu, mógł się spektakularnie nie zgadzać z ewolucją platońskich konwencji uniwersalnej mitologii literatury Northropa Fry'a, potrafił gorliwie propagować literaturę kanadyjską tworzoną w języku angielskim i francuskim, żądał, by jej uczono w szkołach respektując obie tradycje. Biadał nad nieobecnością tego przedmiotu winiąc za ten stan rzeczy nauczycieli akademickich pochodzących z Wielkiej Brytanii i Francji a później Stanów Zjednoczonych. Perswadował, że to zaniedbanie świadczyło o kolonialnej mentalności i niewierze w dorosłość i kompetencję Kanadyjczyków.

Przestrzegał równocześnie przed szowinizmem narodowym, choć doceniał rolę poetów romantycznych, którzy w niektórych krajach spełniali konieczną funkcję społeczną (wymienił polskich wieszczów Mickiewicza i Słowackiego, pamiętanego zapewne z własnego dzieciństwa).

Zakończyła się druga wojna światowa po której na świecie nastąpiły wielkie przemiany społeczne. W Kanadzie odnowa kultury francuskiej i wzrost znaczenia różnych grup społecznych wyzwoliły witalność, która zdynamizowała piśmiennictwo kanadyjskie. Zachwiana została tradycyjna hegemonia klasy

średniej, zamiast kultu ograniczonej narodowości wychynęła perspektywa szerszych horyzontów. Żyjąc w Quebecu Dudek był świadkiem niebywałej ewolucji świadomości jego mieszkańców. Francuska Kanada z kopciuszka i obywatela drugiej klasy, doczekała się fermentu intelektualnego, który zadziwił swoją konstruktywnością i nowoczesnością. Nowe swobody i powszechne wzbogacenie wywołały euforię. Quebec udowodnił, że zdołał pokonać nie tylko rodzimą reakcję, ale także przeciwstawić się angielskiej Kanadzie, jako źródłu wszelkich swoich nieszczęść i problemów.

Jednak przed takim zawężeniem widzenia Dudek ostrzegał, przed dążeniem do konfliktu, utratą uświęconej energii na rzecz ciemnych sił mogących przynieść chaos. Uważał zabawy separatystów za igranie z ogniem. Wzywał do obrania innego kierunku i pielęgnowania wizji wielkiej Kanady, bogatej w dwa języki dające nieskończone możliwości artystycznego rozwoju.

„Zanieśmy bogi do nowego Lacjum” wołał. Ufał nowym, młodym pokoleniom, pełnym świeżej energii pozwalającej na rozsądzenie zmurszałych form. Prawdziwą drogę do wolności i ładu w przyszłości widział przy współudziale sztuki i poezji. Tylko wyobraźnia, odkrywanie istoty człowieka i jego relacji w świecie i wobec innych ludzi były, jego zdaniem, zdolne uratować przed zniewoleniem przez państwo, wyparciem przez maszynę i pogrążeniem w już się powszechnie szerzący upodlony tryb

życia. Wzywał do przeciwstawienia się siłom niweczącym życie.

Dychotomia barbarzyństwa i cywilizacji pojawia się wśród jego częstych tematów. Poeta obawiał się zalewu pospolitości, która się wciska na każdym kroku w nasze gusta. Hołdujemy bieganiu za dobrami materialnymi zamiast walczyć o rolę sztuki. Zagroża nam barbarzyństwo. Nowy Świat może wypracować nową cywilizację lub stoczyć się w barbarzyństwo. Nowoczesna poezja może stać się barbarzyńska, albo dążyć do większej sublimacji, do pełniejszej ludzkości lub popaść w zdziczenie. Ostrzegał, że to, co się rodziło we współczesnej sztuce to, niestety, zbyt często krzyk, prowokacja, nienawiść, hałas, podczas kiedy cywilizacja zamiera, gdyż poniechała szukania ideałów ludzkich.

Już w 1946 roku Dudek wydrukował zbiór wierszy lirycznych „East of the City” poświęcony rodzinnemu miastu, ale dopiero doświadczenia amerykańskie i bliskie kontakty z Ezrą Poundem natchnęły go do napisania długich poematów, „Europe”, „En Mexico”, „Atlantis” i „Continuation”

Jego duży poemat „Europe”, składający się z 99 członów, jest Dudka fizyczną i artystyczną podróżą do korzeni, by rozliczyć się z domem i puścizną ojców. Poeta jadąc do Europy pielgrzymuje do źródła cywilizacji, ogląda Anglię, Francję, Rzym i Grecję. Początkowe zachwycenie magicznym miejscem ulega wnet rozczarowaniu. Rzeczywistość ukazuje odmienną twarz.

Przezierają znamiona upadku i rozkładu. Dzisiejsze życie ekonomiczne niszczy to, co było najcenniejsze. I to go boli. Z każdego kraju poeta wyjeżdża rozczarowany. Ogląda Rzym i Grecję, gdzie wszystko się zaczęło. Nic go tam nie zatrzymuje. Postanawia więc wracać. Do Ameryki, do Kanady. Wszystko przecież może się znowu zacząć w Nowym Świecie. Podróż pokazała stagnację powojennego życia Europy, jej ruinę i upadek. Tam nie należało szukać przyszłości, ale w Ameryce, która może być odrodzeniem i kontynuacją marzeń człowieczeństwa, gdzie idea rozwoju ma większą swobodę, czucie, szerszy oddech. Wypatrujący nieskończonego widnokągu, niedoceniony modernista kanadyjski, który przedkładał intelekt nad emocje, a potem schronił się w lakoniczność aforyzmu, zmarł 22 marca 2001 roku, do końca wierny, nieustrudzony bojownik o rolę sztuki w życiu człowieka. Jego uczelnia ustanowiła doroczną nagrodę jego imienia za wybitność w nauczaniu, władze kanadyjskie odznaczyły go Orderem Kanady, zamkniętą twórczość poetycką i krytyczną zostawił rzetelnej ocenie przyszłości.

Louis Dudek

Europa 31

Nieuk współczesność bazgrała po przeszłości w Winchester;

amerykański błazen

rysował na dźwierzach

mówiąc” bla, bla” temu

prostokątnemu, dumnemu angielskiemu gotykowi.

Najpierw nie było nic, początki

były najtrudniejsze, potem, to co zrobili

było z tego co zaczęli.

Obojętnie. Teraźniejszość uformowana jest z pierwszych

obrobionych kamieni,

od Stonehenge do tego oto.

Wypisali swoje inicjały

obok umarłych. Nowi Anglicy

i Amerykanie błaznią się na złotych dźwierzach.

Wewnątrz same kwiaty

i żłobkowane łodygi,

“Muzyka” powiedziałaś, i “Nie do wiary”,

ja powiedziałem,

że to z kamienia”, takie splątane

stawy

z białej kości, i strasznej czarnej

średniowiecznej magii.

Ale nie ma nic

Ale to nic w dodatkach z 19 wieku:

ostatnie rzeźby cmentarne

przy starszej, surowej, normandyjsko gotyckiej

co nie starała się być piękna.

Tylko wierna.

Wierna czemu? Spójrz na moment

na wstrząsający grobowiec Richarda Foxa

pokazujący jego ciało

poszarpane cierpieniem i śmiercią,

by ci powiedzieć

- nie bądź nadto beztroski, nawet jeśli Bóg

nie jest szczególnie ważny,

pozostają kości, one są katedrą.

Lecz kilku turystów

nabazgrało nazwiska

na piersi Richarda Foxa

w miejscu gdzie szkielet przebija skórę.

Niech te dodatki zostaną

w Winchester.

Może czas pokaże

że takie błazny, jak rzeźbione zwierzęta

należą tam mimo wszystko.

Nie miałyby kamienia

na którym mogłyby tak wyraźnie pisać, gdyby nie ofiarowała
im śmierć

swej kościstej piersi.

Dżungla

Czas ma swe kresy i swoje początki
koniuszek liścia i łodyga, skóra i wątroba-
przez które idzie tętno
bębnienia w ciszy dżungli,
gdzieś w drzewach krzyk
dzikiego ptaka dartego szponami
gdzieś wielkie koty parzą się , rycząc
z bólu, może z rozkoszy,
a cisza nie ma końca, słuchając bębnów
dzień po dniu o nowym początku
dzień po dniu udręka, może przyjemność
ale ponad tym niezmacona biel nieba
czekająca nad światem, aż ustanie ruch

i wchłoną go fałdy jego morza

pogrąży się w przestrzeni, gdzie wszystko co było

to dźwięk w głuchym uchu, lęk w zapomnianym śnie.

Epigramy

Niedawno temu mieliśmy pokolenie, które miało zbawić świat, ale nikt nie umie powiedzieć, co się z nim stało.

*

Dwa niewypały w komitecie potrafią przegłosować każdego geniusza.

*

Seks jest najtańszą formą twórczości.

*

Komputery mogą zastąpić człowieka, ale nigdy nie zastąpią

kobiety.

*

Porady małżeńskie przed małżeństwem zapobiegłyby wielu małżeństwom.

*

Nie martw się, że wyglądasz staro. Ciesz się, że jeszcze wyglądasz.

*

Porażka jest dobrą zaprawą do sukcesu.

*

Wielki człowiek jest wielki tylko z odległości.

*

Marksowi się wszystko pomieszało. W miarę jak państwo staje się silniejsze, komunizm obumiera.

*

Zazdrość bardzo pochlebia, ale nie zawsze jest zasłużona.

*

Nuda powinna być krótka, bo życie nie jest długie.

*

Gdybyśmy znali prawdę o przyjaciółach, życie byłoby nie do zniesienia.

*

Większość ludzi zabija się, by związać koniec z końcem.

*

Można czuć się bardziej swobodnym z umarłymi, niż z żywymi.

*

Są jeszcze części Kanady w posiadaniu Kanadyjczyków, ale są one zbyt rozproszone, by tworzyły państwo.

*

Tylko hedoniści żałują, że życie jest krótkie.

*

Rewolucja jest dobra, póki nie zwycięży.

*

Ludzie, którzy szybko się nudzą, są albo ogromnie intelegentni, albo nie bardzo inteligentni.

*

Nieporozumienie jest siłą twórczą w historii i w życiu jednostki.

*

Sława to tylko przywilej pozwalający obcym trapić człowieka.

Przełożył Florian Śmieja